Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł — 8 stron | Warszawa, 5 października 1952 r. | Nr 40 (132) Rok III

Rękojmia dobrego jutra

Zarówno przed wojną, jak teraz po wojnie, każdą z moich podróży do puszcz tropikalnych czy na odległe wyspy poprzedzały dość żmudne przygotowania teoretyczne. Polegały one na sumiennym przestudiowaniu wszelkiej osiągalnej obcej literatury, dotyczącej krajów, do których się wybierałem. I oto spostrzegłem charakterystyczną rzecz: podczas gdy książki te w sprawach przyrody, a więc interesującej mnie fauny i flory, informowały na ogół ściśle i zgodnie z rzeczywistością, to obraz spraw ludzkich, a więc stosunków politycznych, gospodarczych, etnicznych, kulturalnych, przeważnie przedstawiał się mętnie, opacznie, wręcz kłamliwie. Nie dziw: podróże moje wiodły przede wszystkim do kolonii państw europejskich lub do krajów zależnych, natomiast odnośną literaturę tworzyli ludzie, którzy należeli do grup niemiłosiernie eksploatujących owe kraje.

Nawet podczas morskiego przejazdu do tych krajów miało się przedsmak tego, co będzie później. W jednej z mych pierwszych wypraw do Ameryki Południowej płynąłem na statku wielkiej kompanii zachodnio - europejskiej. Bogate prospekty barwnie opisywały wygody i przepych I i II klasy statku, lecz o III klasie przezornie milczały. W III klasie płynęła wszelka biedota emigracyjna południowej, środkowej i wschodniej Europy, w I i II klasie — zamożni ludzie krajów zachodnio - europejskich.

Były to tylko dorywcze spostrzeżenia na marginesie mych podróży. Przede wszystkim przyroda i jej tajemnice przykuwały moją uwagę do siebie, lecz mimo to owe pierwsze doświadczenia na statku nie poszły w zapomnienie. W różnych krajach zacząłem przyglądać się stosunkom ludzkim, w każdej następnej podróży z coraz większą pasją. Wyostrzający się zmysł spostrzegawczy odkrywał nieprawdopodobne, nieoczekiwane objawy monstrualnego systemu. Coraz wyraźniej wyłaniała się z jednej strony zapamiętała, rozbestwiona, a przebiegle zorganizowana drapieżność, z drugiej zaś strony krzywda ludów i mas podbitych. Jakiś taniec św. Wita, który jak każdy obłęd musiał skończyć się źle.

I kończy się źle. Wzmagająca się z roku na rok świadomość ciemiężonych ludów, ich rosnący opór, ich wszczęta już walka polityczno-społeczna i — na wielu frontach globu — orężna, przy równoczesnym krzepnięciu sił postępu w krajach kapitalistycznych — oto potężny wyraz nieodwracalnego biegu historii, oto nieodparte zjawiska zmierzchu starego, próchniejącego świata. Świata, który w rozpaczliwych, okrutnych konwulsjach daremnie broni się od zguby.

Kto przemierzał szlaki owego rozkładającego się świata, kto własnym doświadczeniem doznawał jego matactw, widział jego kryzysy gospodarcze, jego bezwzględne deptanie słabszych ludów i warstw społecznych, kto zetknął się oko w oko z histerią jego paniki wojennej — ten ze szczególnym zrozumieniem, więcej: ze szczególną miłością i podziwem odczuwa to, co dzieje się u nas w Polsce — tworzenie się nowego, lepszego świata. Nie jest to łatwe tworzenie i nie ma tu bukolicznych sielanek, bo jakże by miały być, kiedy toczy się walka — twórcza, pokojowa walka — o tak wysoki cel, jakim jest przebudowa człowieka na lepszą istotę i stworzenie mu sprawiedliwych podstaw gospodarczych? Czego nie ma w tamtym, ginącym świecie, tu u nas jest: uczciwy plan, jasna droga. A na tej drodze wznoszą się czytelne dla wszystkich, krzepiące drogowskazy: Plan 6-letni, uchwalenie Konstytucji, Front Narodowy, wybory do Sejmu.

Często jadę z mego Puszczykówka do pobliskiego Poznania.

— Do widzenia! — serdecznie żegnają mnie żona i dwaj synkowie, którzy zawsze dodają: — A przywieź nam coś dobrego!...

Niedługa podróż do Poznania za każdym razem gotuje mi silne i przyjemne wrażenia. Pociąg najpierw przebija się przez słoneczne lasy puszczykowskie, a gdy z nich się wydostaje, zupełnie inny widok przypada do serca: fabryki z dymiącymi kominami i hukiem maszyn. Nieco dalej, już na samych przedmieściach Poznania, dostojnie witają nas potężne zakłady im. Stalina. A gdzieś między nimi wyrasta nowa duma budownictwa socjalistycznego: olbrzymia fabryka maszyn rolniczych.

Więc za każdym razem, gdy wracam do domu, myślę sobie: Mali moi synowie, przywożę wam coś najlepszego, bo rękojmię dobrego jutra!

Arkady Fiedler

JERZY PUTRAMENT

Idea staje się życiem

Dziewiętnasty Zjazd Partii Komunistycznej Związku Radzieckiego jest wydarzeniem historycznym. Nasze dzieci i wnuki będą się uczyły daty piątego października 1952 roku, będą notowały w zeszytach punkty porządku dziennego Zjazdu, będą „swoimi słowami" streszczały najważniejsze referaty, wystąpienia i rezolucje zjazdowe. My, współcześni, dla których Zjazd nie jest jeszcze rozdziałem w podręczniku historii, my, którzy widzimy go na pierwszych stronach gazet — czy w pełni uświadamiamy sobie jego znaczenie dla dziejów naszego wielkiego sojusznika i sąsiada, dla dziejów świata, dziejów naszego kraju, dla naszych własnych, osobistych losów?

Zjazd będzie obradował nad referatem politycznym, będzie omawiał nowy plan pięcioletni, będzie dyskutował nad zmianami w statucie partii. Ale przecież wszystkie te punkty porządku dziennego mają jeden sens wspólny i najważniejszy. Nie tylko referat polityczny, ale i gospodarczy, i organizacyjny mają przede wszystkim *znaczenie ideologiczne.*

Co to jest ideologia?

Piętnaście lat temu rządząca w Polsce grupa „pułkowników" doszła do wniosku, że policję ma dosyć sprawną, że sądy wzięło się za mordę, ale że właśnie ideologii jakoś nie starcza na codzienne potrzeby reżimu. Odkomenderowano więc jednego ze swoich, pułkownika Koca, i zlecono mu w określonym terminie opracować „własną" ideologię.

We Francji istnieje takie powiedzonko: z rządzeniem jak z koniem, dosiada się go z lewej, zsiada się zeń z prawej strony. Albo inne: głosuje się na lewo, rządzi się na prawo.

W Ameryce odbywa się teraz wyścig dwóch partii do władzy. Warto przyjrzeć się technice tego wyścigu i roli, jaką spełnia w amerykańskiej walce wyborczej strona tzw. ideologiczna.

Obaj kandydaci na prezydenta, Eisenhower i Stevenson, reprezentują interesy tych samych sił społecznych: wielkiego kapitału monopolistycznego. Ale klientela obu partii składa się z grup o różnych często sprzecznych ze sobą interesach. Za demokratami np. głosowali zazwyczaj najbardziej reakcyjni plantatorzy ze stanów południowych i wielkie ośrodki przemysłowe na północy. Cała taktyka Stevensona sprowadza się więc do tego, by nie zrazić plantatorów i nie stracić głosów „żółtych" związków zawodowych.

I stąd program, „ideologia" Stevensona — to mieszanina frazesów, które by „nasyciły" wilka z Mississipi i nie dotknęły owiec z Pensylwanii czy Michigan. To znaczy — trzeba przemilczać dyskryminację czarnych na południu i trzeba pomstować przeciwko antystrajkowej ustawie Taft-Hartley.

Sekundanci prasowi obu walczących z rozbrajającą otwartością komentują każde przemówienie swoich pupilów. Eisenhower palnął głupstwo z tą „krucjatą" — Stevenson krzyknij trochę o pokoju! Eisenhower zanadto skręcił na prawo — Stevenson pięć centymetrów na lewo! Stevenson zapomniał o farmerach ze środkowego zachodu, a no, Eisenhower, rżnij coś, że nadmierne podatki!

Oto, jaką rolę spełnia strona ideologiczna w życiu najpotężniejszego państwa kapitalistycznego na świecie. Ideologia czołowych partii burżuazyjnych jest systemem doraźnie dobranych frazesów, obiecanek, zapewnień, których nie łączy ze sobą żadna wspólna idea, plan, koncepcja, których jedynym przeznaczeniem jest zyskanie pewnej ilości głosów.

Ideologia, którą „wymyśla" ad hoc delegowany pułkownik, ideologia, której oszukańczy charakter tak jest powszechnie wiadomy, że staje się możliwe puszczenie przysłowia o głosowaniu na lewo, a rządzeniu na prawo — ideologia burżuazji na dzisiejszym etapie jest po prostu systemem okłamywania mas ludowych.

Jest to całkiem zrozumiałe i naturalne. Staje się tak zawsze, jeśli interes klasy rządzącej przestaje pokrywać się z interesem narodowym.

Burżuazja dzisiaj nie jest zdolna zapewnić narodowi jasnej perspektywy rozwoju. Nie jest nawet zdolna utrzymać osiągniętej już stopy życiowej. Aby nie stracić władzy musi ona wzmocnić aparat represyjny i rozbudowywać przy pomocy, prasy, radia, kina, telewizji system oszukiwania mas ludowych.

„Ideologia" partyj burżuazyjnych służy obecnie do maskowania, ukrywania przed masami interesów burżuazji.

*

Rola ideologii w państwie radzieckim jest całkiem inna.

Partia, która trzydzieści pięć lat temu zdobyła władzę w Rosji, szła do walki w imię ideologii, będącej zarazem nauką, żarliwą wiarą i planem konkretnego działania. Ideologia ta głosiła możność zbudowania takiego społeczeństwa ludzkiego, w którym stałby się niemożliwy wyzysk człowieka przez człowieka„ w którym każdy wysiłek ludzki miałby zdolność pomnażania dobra ogólnego. Ideologia ta głosiła jako cel — zbudowanie społeczeństwa bezklasowego i wkroczenie w okres komunizmu.

Przypomnijmy sobie, jak przyjmowano te hasła i cele w sferach np. inteligencji burżuazyjnej.

Cele te, same w sobie, nie budziły specjalnych zastrzeżeń. Mówiono tylko, że to utopia. Wyśmiewano komunistów, szydzono z nich. Zgłaszano różne „poprawki" do ich programu, m. in. taką, że „trzeba najpierw zmienić człowieka", a potem można i do komunizmu się zabierać.

Lenin wyśmiał w swoim czasie te koncepcyjki „cieplarnianego" hodowania nowych „lepszych" ludzi, którzy mieliby z kolei zabierać się do przebudowy świata. Nowe społeczeństwo muszą budować ludzie wyrośli w starym, i właśnie w toku budowy świadomość ich zacznie się zmieniać, wyrastać.

Mamy rzadką w historii okazję sprawdzić, kto w tym sporze miał rację.

Mamy jedyną w historii okazję obserwować, jak w ciągu trzydziestu pięciu lat odbywała się realizacja — utopijnych! — haseł marksizmu-leninizmu.

W Związku Radzieckim zbudowano socjalizm. To znaczy — znikły w nim klasy pasożytnicze, nie ma w nim wyzysku człowieka przez człowieka. Została w nim zrealizowana klasyczna zasada socjalizmu: każdy według swych możliwości, każdemu według jego pracy.

Związek Radziecki żyje w epoce budowania komunizmu. Komunizm zakłada taki wzrost produkcji, aby każdy miał zapewnione zaspokajanie wszystkich potrzeb.

Dlatego nowy plan pięcioletni, który będzie się dyskutowało na XIX Zjeździe — ma bezpośredni charakter ideologiczny. Wzrost produkcji — to przybliżenie komunizmu. Więcej energii — to więcej maszyn, więcej maszyn — to więcej dóbr powszechnego spożycia. Każdy dodatkowy milion ton węgla — to bliższy dzień, w którym po raz pierwszy w dziejach ludzkości człowiek nie zapłaci za chleb. To znaczy, uwolniony od codziennej troski, wyzwoli w sobie energię dla wyższych form działalności.

Komunizm zakłada zlikwidowanie różnicy między pracą fizyczną i umysłową. Dwa punkty w projekcie planu pięcioletniego wiążą się szczególnie z tym podstawowym hasłem ideologii komunistycznej.

Po pierwsze: zaprojektowane na najbliższe dziesięć lat przejście do powszechnego nauczania w zakresie szkoły średniej oznacza niebywałą rewolucję kulturalną w bliskiej, osiągalnej dla nas przyszłości. Społeczeństwo, w którym *każdy* będzie miał maturę, wyda z siebie ogromne kadry naukowców i artystów. Społeczeństwo takie będzie pracowało z nieznaną w dziejach wydajnością. Siła takiego społeczeństwa — materialna i duchowa — jest nie do obliczenia.

Po drugie: mechanizacja pracy fizycznej zmniejszy niesprawiedliwość, nierówność losów ludzkich, do której przyzwyczailiśmy się w warunkach kapitalistycznych, której niesposób zlikwidować nawet w przejściowym okresie społeczeństwa socjalistycznego. Ciężka, niezdrowa praca górnika zostanie wyrównana wprowadzeniem coraz powszechniejszego stosowania kombajnów węglowych, zanim nie zrealizuje się bardziej racjonalnego wykorzystania energii węgla, bez wydobywania go na powierzchnię ziemi. Wielkie elektrownie wodne dadzą energię nie tylko dla przemysłu, zmienią one także charakted pracy rolnika, uwolnią go od niejednego trudu i kłopotu.

Nowy plan pięcioletni w swoich najbardziej technicznych, gospodarczych punktach i podpunktach tętni żywą treścią ideową, zapowiada zbliżenie się epoki komunizmu, przewiduje stopniową likwidację nierówności warunków pracy i życia człowieka.

Referat organizacyjny mówi o zmianach w statucie Partii. I on bezpośrednio jest związany z ideologią komunizmu.

Zmiany w statucie Partii odzwierciedlają zmiany w życiu społeczeństwa radzieckiego, ewolucję jego w kierunku komunizmu.

Projektowana zmiana nazwy Partii ze „Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej (bolszewików)" — na „Komunistyczną Partię Związku Radzieckiego", symbolizuje niejako wysunięte dziś na pierwszy plan zadanie tej Partii — zbudowanie komunizmu. Nowe brzmienie pierwszego artykułu statutu Partii podkreśla osiągnięte już postępy w budowaniu społeczeństwa bezklasowego, w którym powstała nowa, wyrosła z ludu i z ludem nierozerwalnie związana inteligencja, w którym chłopstwo stało się jakościowo nową klasą społeczną, pozbawioną elementów pasożytniczych, o wysokim poziomie świadomości politycznej.

I oto widzimy, czym staje się ideologia w ustroju radzieckim: planem konkretnego działania. Hasła, które trzydzieści pięć lat temu i później wydawały się mrzonkami, utopiami — odnajdujemy dziś przełożone na język cyfr, podzielone na odcinki najbliższych lat, tak konkretne, tak osiągalne, że czasem wymagają poetyckiej wyobraźni, aby zrozumieć i ujrzeć ich wielki patos.

Zjazd, co się zaczyna — *jest zjazdem Partii, która* pierwsza na świecie — *potrafiła wcielić w życie głoszoną przez siebie ideologię.*

*

Partia ta zbudowała w swoim kraju nowy, nieznany dotąd na ziemi ustrój. I ustrój ten okazał się najtrwalszy, najsilniejszy ze wszystkich istniejących na kuli ziemskiej.

Przejrzyjmy pobieżnie dzieje wielkich mocarstw przez ostatnie lat trzydzieści pięć. Wyrastały te mocarstwa, wydymały się, pękały. Francja, która przez dwadzieścia lat, aż do Monachium, usiłowała budować Europę według swych drobniutkich, iście rentierskich, interesików. Tragikomiczna bufonada imperium rzymskiego, którą tak po kabotyńsku wykonał Mussolini. „Wielka wschodnia strefa powszechnej i wzajemnej pomyślności" — czy jak tam nazywała się impreza, którą usiłowały zbudować japońskie bagnety i bomby lotnicze. Ponure szaleństwo Trzeciej Rzeszy. Byłoby zabawne przypominać sobie teraz wszystkie zaklęcia i zapewnienia rzucane przez rozmaitych führerów i duce przez ostatnie ćwierć wieku. Byłoby zabawne — gdyby nie koszt takich szaleństw.

Weźmy jednak spokojniejszą odmianę państwa burżuazyjnego, Wielką Brytanię. Trzydzieści pięć lat ubiegłych — to niewielki odcinek w jej tysiącletnich dziejach — ile jednak zaszło w tym czasie wydarzeń, brzemiennych w skutki dla tego mocarstwa. Od dominującej w świecie kapitalistycznym pozycji — zaraz po pierwszej wojnie — stoczyła się ona dziś do roli pierwszego wprawdzie, ale przecież lokaja Ameryki. Jej dominia trzymają się jej — jak to się mówi — na słowo honoru. Opanowany przez nią Bliski Wschód — środek ciężkości tego imperium, usuwa się jej spod nóg. Jeszcze tak niedawno, dziewięć lat temu, udało się jej wypchnąć Francję z Syrii i Libanu i w ten sposób zakończyć podbój Bliskiego Wschodu. Ale niekończąca się seria wojskowych zamachów stanu pozbawia ją dzisiaj jednego po drugim wasalnego państewka. Rywal amerykański napadł ją w decydującym o jej mocarstwowym znaczeniu obszarze.

Przypatrzmy się grabarzowi brytyjskiego imperium, Stanom Zjednoczonym. Ich siła niezaprzeczalnie wyrosła w ciągu ostatniego ćwierćwiecza — kosztem w pierwszym rzędzie Wielkiej Brytanii, Japonii, Francji. Od dwudziestu lat u władzy jest tam partia demokratów — jak na stronnictwo burżuazyjne — to bardzo dużo.

Ale przez te dwadzieścia lat — ile zakrętów w historii Ameryki, ile różnych polityk! Przez dwanaście lat Roosevelt usiłował sklecić coś, co historia kiedyś nazwie ostatnią próbą uratowania kapitalizmu przy pomocy środków mniej lub więcej demokratycznych. Ale ledwo zmarł — gdy jego zastępca i następca zabrał się do likwidacji wszystkich jego poczynań, i dziś wystarczy nazwać kogoś zwolennikiem Roosevelta, by go utrącić z areny politycznej.

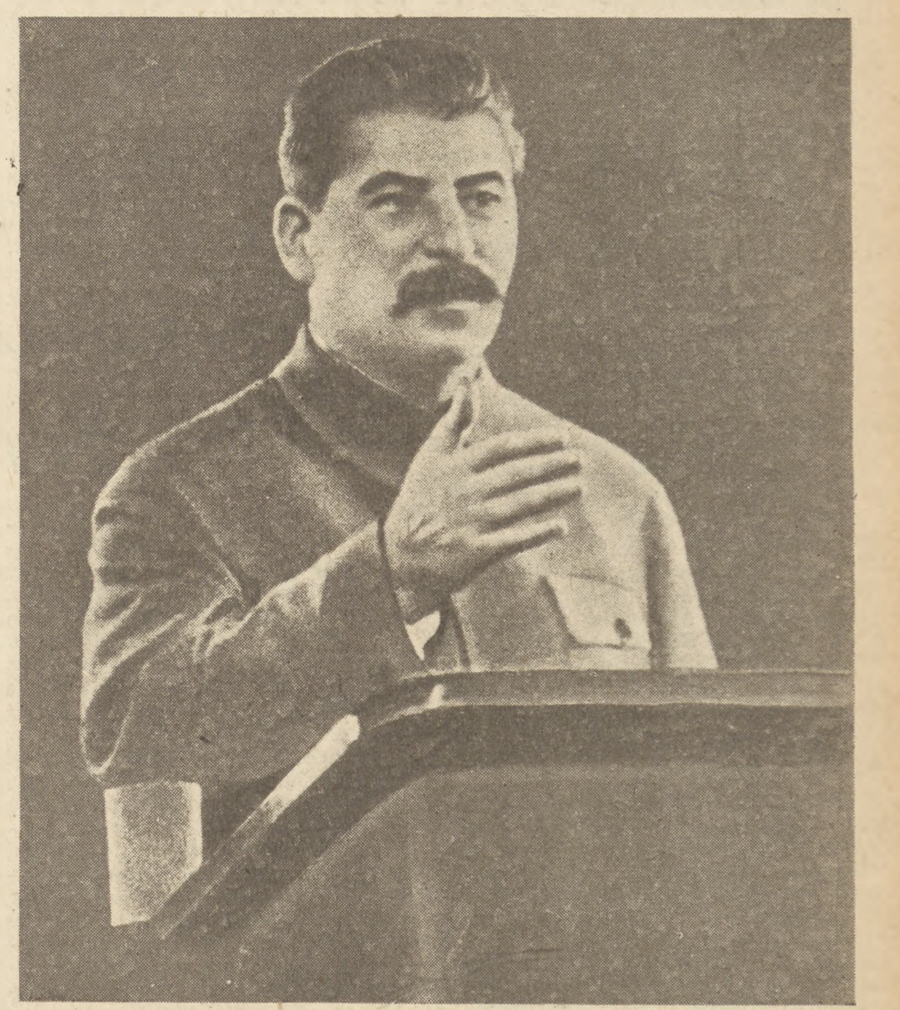
Widzieliśmy, jak się buduje w Ameryce program polityczny i jaką rolę spełniają elementy takiego programu: rolę przynęty dla poszczególnych grup wyborczych. Może więc nie zasady, nie koncepcje, ale osoby reprezentują w tym kraju pewną stałość polityki?

Ano, weźmy sześć ostatnich lat w amerykańskiej polityce zagranicznej i poszukajmy w pamięci, kto ją reprezentował. W 1946 r. to był jeszcze Byrnes, ten sam, który w Sztutgarcie pierwszy po wojnie ukazał Niemcom perspektywę rewanżu na Polsce i odebrania naszych Ziem Zachodnich. W 1947 był już Marshall, ten, który zapoczątkował odbudowę niemieckiego ciężkiego przemysłu. Dziś jest Acheson, ten, który trudzi się nad zbudowaniem zachodnio-niemieckiej armii odwetowej.

Sześć lat — trzech ludzi. I w ich polityce niewiele więcej znajdzie się wspólnego, poza dźwiganiem niemieckiego militaryzmu w celu pchnięcia go na wschód, na nas.

Nie wiadomo, kto wygra w Ameryce wybory, ale ta febra, która co cztery lata nawiedza Stany Zjednoczone, powoduje osobliwą biegunkę koncepcji polityki zagranicznej. Najbardziej bezsensowne hasła, głoszone przez potężne trusty dzienników, rozgłośni radiowych i telewizyjnych stwarzają ta-

(Dokończenie na str. 2-ej)



K. I. GAŁCZYŃSKI

OJCZYZNA

Córce

Wiele pieśni na świecie
ze stulecia w stulecie,

ale jest ton jedyny,
z samej głębi, z głębiny;

od kolebki do grobu
ton ten idzie za tobą;

byle szmer, byle nuta
a już wiesz, że to tutaj:

szyba w słońcu uśpiona —
pelargonia czerwona;

parę gwiazd, parę ptaków
a już wiesz skąd ten akord;

listek upadnie w strumień
a już serce rozumie,

zamyśli się, wypowie,
a co w sercu, to w mowie;

w mowie dziada, pradziada,
co szmerliwa jak trawa,

co się krzewi faliście,
raz jest słowem, raz liściem,

raz pagórkiem, raz chmurą,
porą roku poczwórną,

śniegiem, ptakiem, błękitem,
Szopenem i Norwidem.

Struna ze struną gada,
czas swe wzory układa.

Treść najgłębsza, najszczersza
jarzy się w tyglu serca;

światło pada wysokie
na pracę, na chorągiew —

i jednym światłem świeci
ruch rąk i ruch narzędzi.

I znów iskrzy się nocka
jak lampa szopenowska;

dźwięk skrzypiec nad ulicą;
pelargonia w księżycu,

ciężka gwiazda nad świerkiem;
i znów blask zorzy wielkiej.

Kraju mój, kraju barwny
pelargonii i malwy,

kraju węgla i stali
i sosny, i konwalii,

grudka twej ziemi w ręku
świeci nawet po ciemku;

tyś mój w śniegu, w spiekocie,
tu dziad spoczął, tu ojciec;

trawa, trawa szmerliwa
białe kiście okrywa.

A nam, którzyśmy w drodze,
niechaj flaga łopoce,

żeby dźwięczał dźwięk kielni
najcelniej, najrzetelniej —

żeby siła w ramionach,
żeby trud nasz wykonać —

przy stali i przy zbożu,
na lądzie i na morzu —

żeby blask szedł z dni naszych,
dni mozolnych, odważnych

w wiek sławą złotolistną,
nuto święta, ojczyzno.

K. I. Gałczyński

W numerze

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Do Polaków na Ziemiach Odzyskanych

Tak, to już osiem lat. Czas gna. Trudno znaleźć słowa, które mogłyby oddać całe bohaterstwo tych dni, które już są poza nami, całe ich bogactwo, całą złożonośc. Trzeba było dokonać wyboru, ważąc się na dzieła, do których jakże niewiele mieliśmy sił. A jednak w miarę jak cele ogromniały — rosły siły, pomnożone milionem rąk spragnionych działania, milionem serc pełnych Polski.

Przyszliśmy z różnych stron. Spod nalotu niemczyzny przemówiła do nas przeszłość. Orły piastowskie na wieżach miast, cmentarze praojców upewniały nas, że stąpamy po swoim dziedzictwie. Na tej ziemi widniała pieczęć polskiego władania.

Ale jak żyć samą przeszłością, gdy dookoła Wrocław, półmilionowe miasto świeci rozprutymi murami, gdy domy potrzaskane a kominy fabryczne stoją wystygłe jak lufy porzuconych dział? Zdawać by się mogło, że nigdy nie poruszymy tej olbrzymiej, pogruchotanej machiny gospodarczej... Brakowało pieniędzy, fachowców, maszyn... Jedno mieliśmy — wolę walki, wolę zwycięstwa...

Warto obejrzeć się za siebie, by zobaczyć przebytą drogę. To powinno napełnić nas dumą i niejednego nauczyć. Wszędzie jest ślad naszej ręki. Cegła po cegle, dzień za dniem, ta ziemia stawała się nam bardziej bliska.

Nie potrzebujemy powiększać zasług. Fakty mówią za siebie.

Mieszkańcy, którzy tu gospodarzyli, przez wieki oczekiwali Polski — ale tej od święta, tej z przemyconych wierszy naszych wieszczów, z obrazków patriotycznych, z legend...

Tymczasem przyszła Polska walki, Polska trudu i codziennych wyrzeczeń. Byliśmy krajem bez komunikacji, z powalonymi mostami, z fabrykami, z których wnętrzności wydarł faszyzm w paroksyzmach ucieczki.

O przyjaciele, starcie marzenia z surową prawdą zawsze musi boleć...

Ale gdy marzenie pryska, zostaje wiara i na niej trzeba budować. Próbują nam tę wiarę poderwać, osłabić, zachwiać trudności dnia codziennego i syk wrogiej, zachodniej propagandy... Ale my na szczęście mamy czym naszą wiarę krzepić — popatrzcie: mosty spinają brzegi rzek, fabryki szumią, miasta błyskają hełmami wież — miliony młodych zdobywa wiedzę... wystarczy popatrzeć na Warszawę, jakże z każdym rokiem wspanialszą, by pojąć: można tej Polsce zaufać, tej Polsce trzeba się powierzyć... Służymy jej i rośniemy wraz z nią.

A przecież nikt bardziej od Was nie ma do tego prawa, by się nazwać Polakiem. Wy, którzyście przez setki lat opierali się germanizacji!

Z głębokim wzruszeniem i prawdziwą wdzięcznością powinna was Polska przygarnąć. To tutaj na śląskiej ziemi była jej kolebka. Tutaj powstały pierwsze pomniki kultury z kamienia i spisane na pergaminach. To Wyście powinni z dumą tych, co tu przyszli, uczyć historii, uczyć miłości do tej sponiewieranej ziemi, którą każdy chciał władać, a tak niewielu kochało.

Uczyć kochania tej ziemi — czyż to nie jest i nasz obowiązek? Popatrzcie na karty naszych książek.

Jestem jednym z pisarzy, którzy tu wkroczyli w mundurze, z bronią w ręku, którzy przywieźli tu pierwszych repatriantów, wreszcie sami się tu osiedlili — by towarzyszyć wam w pracy i tworzyć.

Jednak było nas za mało.

Dlatego niedawno świadomi odpowiedzialności przed historią i narodem — postanowiliśmy: jednogłośną uchwałą Walnego Zebrania Związku Literatów Polskich

— roztoczyć trwałą i najtroskliwszą opiekę nad Ziemiami Odzyskanymi. Wysłać tu najlepszych pisarzy, by poznali codzienne troski i radości mieszkańców. By ukazali im nieśmiertelne piękno naszej kultury, mówili im wielką, urzekającą prawdę o odrodzonej Polsce Ludowej — i by Polsce mówili o tych Ziemiach, które na wieki w jedną całość zrosły się z Macierzą!

Wojciech Żukrowski

Fragmenty przemówienia wygłoszonego na Kongresie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu.

HENRYK MARKIEWICZ

KAZIMIERZ WYKA

Pierwszy po wojnie artykuł Kazimierza Wyki pojawił się w „Odrodzeniu" z 9 marca 1945 roku. Wbrew przypuszczeniom nie dotyczył jednak spraw literatury. Był to essay-reportaż pt. „Haus Kressendorf w hrabstwie tęczyńskim"; opowiadał o losach krzeszowickiej posiadłości hrabiów Potockich, która w czasie okupacji stała się rezydencją hitlerowskiego generał - gubernatora. Doprowadzał jej dzieje do chwili, kiedy na bramach parku i budowli pojawiają się nalepki głoszące o nowym, społecznym ich przeznaczeniu. Autor reportażu, kreślonego na gorąco w pierwszych dniach wolności, umiał w tym fakcie dojrzeć symbol rozpoczynającego się nowego ogniwa dziejów. W kilka miesięcy później, zabierając już głos w sprawie obowiązków literatury, pisał: „Nikt rozsądny i pojmujący błędy i zapóźnienia naszej historii nie powie, by nie był to początek wielkiej, na dziesięciolecia i pokolenia budowy,



z której wyniknąć winien inny typ człowieka w Polsce".

Dla wybitnego krytyka pierwszą więc potrzebą pisarską było — powierzyć drukowi swe spojrzenie na wyłaniający się z nocy okupacyjnej nowy kształt społecznej budowy. To fakt znamienny i wiele wyjaśniający. Właśnie bystre, chłonne, zawsze otwarte ku nowemu spojrzenie na życie, pełne zaangażowanie w „sprawy Polaków" — pozwoliło Wyce tak szybko podjąć słuszną decyzję ideologiczną, odnaleźć właściwe drogowskazy pracownika kultury w Polsce Ludowej. Ale od dostrzeżenia tych drogowskazów do dzisiejszego przodownictwa naukowego Kazimierza Wyki dojście nie było łatwe. Głębokie wzruszenie a jednocześnie szacunek budzi ten rzetelny wobec samego siebie, stroniący od wszelkiej deklaratywnej łatwizny wysiłek, ta intelektualna dzielność badacza, który w praktyce, z każdą nową pozycją krytyczną budował nowy stopień swej świadomości ideowej i metodologicznej. Wyka był w tej grupie postępowych polonistów, która w roku 1948 zakładała Instytut Badań Literackich; nie afiszując się nigdy ze swym marksizmem, coraz umiejętniej, coraz precyzyjniej nim się posługiwał. On, który wyszedł z pogranicza formalizmu i podiltheyańskiej nauki o literaturze, umiał ten balast nie tylko odrzucić, ale podjąć z nim rozrachunek z pozycji marksistowskich, rozrachunek pouczający dla całej polonistyki—mowa tu o dwóch jego świetnych referatach wygłoszonych na Zjeździe Polonistycznym w roku 1950.

Mówiąc kiedyś o nawale zajęć zawodowych i społecznych, które zmieścić musi w swoim budżecie czasu i energii, Wyka wyraził się żartobliwie, że „żyjemy w epoce człowieka struganego". Ale Kazimierz Wyka, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek - korespondent Polskiej Akademii Nauk, zastępca dyrektora Instytutu Badań Literackich, wiceprezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, należy do tych fenomenalnych ludzi, którzy — kontynuując ową ryzykowną nieco metaforę — dzielić się umieją niemal w nieskończoność, a mimo to każdej cząstce swej działalności potrafią nadać walor odpowiedni jej przeznaczeniu.

Działalność tę nie łatwo scharakteryzować. Nie tylko z racji cechującego ją rozmachu i dorobku pomnażającego się w iście „warszawskim" tempie (jakże przyjemnie napisać to o krakowskim profesorze!), ale przede wszystkim z racji jej wielokierunkowości. Nie idzie tu o wielokierunkowość rodzajową, choć podziw budzi różnorodność narzędzi pisarskich, nad którymi Wyka z równą swobodą i talentem panuje: rozprawa naukowa, essay, przemówienie, felieton, pastiche... — lecz o wielokierunkowość tematyczną. Historia i krytyka literacka to główny tor, ale ileż od niego wiedzie odgałęzień: historia polityczna, sztuka współczesna i dawna, sprawy ekonomiczno - społeczne, problemy organizacji życia artystycznego... Dlatego też pisać o Wyce, to znaczy właściwie pisać o wielkim obszarze współczesnego życia kulturalnego. Więc tylko przypomnijmy, że jako wieloletni redaktor „Twórczości" i krytyk był jednym z pierwszych najbardziej pomocnych i cierpliwych (choć czasem może zbyt wyrozumiałych) sprzymierzeńców pisarstwa polskiego w jego dążeniu do realizmu. Nie zawsze można się zgodzić z jego ówczesnymi ocenami i prognozami (a zwłaszcza ze sposobem postępowania dowodowego), zapewne nie zawsze zaaprobowałby je dziś sam autor, niemniej w „Pograniczu powieści" — książce utrwalającej dorobek krytyczny Wyki z lat 1945—1948, nagromadziło się tyle odkrywczych ujęć świadczących o wrażliwości estetycznej autora, o jego ogromnym talencie essayistycznym, że książka ta weszła w historię literatury powojennej, w tę nienapisaną jeszcze pracę, dla której sama jest cennym fundamentem.

Zerwanie ze swoistym eklektyzmem, jaki cechował „Pogranicze powieści", dokonało się u Wyki na terenie historii literatury. Wobec wielości i ciężaru zadań, jakie stanęły przed kadrą postępowych historyków literatury, wobec konieczności przebudowy założeń teoretycznych i warsztatu naukowego, wobec rosnących obowiązków uniwersyteckich — zrozumiałe jest pewne rozluźnienie kontaktu Wyki z literaturą współczesną w latach ostatnich. Ale kontaktu tego — przykład godny, choć trudny do naśladowania dla pracowników o mniejszej wiedzy i wydajności naukowej — Wyka nie zrywa: jego to piórem przecież krytyka polska określiła najlepiej swój stosunek do takich wydarzeń literackich jak „Stare i nowe", „Kwiaty polskie" czy „Kształt miłości". Jego głos zawsze ważko pada w dyskusjach ideologicznych na zjazdach Związku Literatów Polskich.

Zainteresowania historyczno-literackie Wyki obejmują cały wiek XIX i XX literatury polskiej, ale w tych granicach chronologicznych atakują przede wszystkim zjawiska interpretacyjnie najtrudniejsze: Słowacki, Fredro, Norwid, Sienkiewicz, Wyspiański, Kasprowicz... Przy tak ambitnej tematyce tym bardziej imponować musi wzrastająca nieustannie metodologiczna precyzja i interpretacyjna wnikliwość badacza. Zwłaszcza ostatnie prace Wyki, takie jak studium o „Zemście" czy szkic syntetyczny o ewolucji twórczości Żeromskiego, należą niewątpliwie do najwyższych osiągnięć marksistowskiej polonistyki. Publikację dwóch nowych tomów studiów o Fredrze i Słowackim, a także osobnej książki syntetycznej o autorze „Beniowskiego", odsunęła w przyszłość (niedaleką) wytężona praca nad dwoma zarysami podręcznikowymi: uniwersyteckim skryptem literatury współczesnej (1884 — 1925) i podręcznikiem szkolnym literatury romantyzmu (ukaże się niebawem). Są to jednak książki zupełnie szczególnego rodzaju, całkowicie odmienne od zwykłych podręczników, które z reguły popularyzowały przecież rezultaty przeprowadzonych już badań naukowych. Wyka znalazł się w sytuacji odmiennej: w ramach podręcznika musiał w znacznej części sam budować nowe konstrukcje dwu wielkich i trudnych epok literatury polskiej. Tylko połączenie rozległej wiedzy, talentu i już nie pracowitości, lecz — ofiarności w wysiłku naukowym, jakie cechuje Wykę, mogło podołać takiemu zadaniu. Dodajmy jeszcze jedną jego cechę: głębokie zrozumienie obowiązku społecznego, które temu essayiście z temperamentu kazało wdrożyć się w postulaty dydaktyczne; dodajmy ogromną a trudną umiejętność włączenia się w pracę zespołową, w czym Kazimierz Wyka jest dla nas wszystkich — pracowników Instytutu Badań Literackich — znakomitym przykładem.

Z terenu historii literatury Wyka urządza często rekonesanse naukowe na tereny pograniczne: w historię polityczną i historię sztuki. Jego książka o „Tece Stańczyka" pierwsza rzuciła marksistowskie światło na historię Galicji w latach 1848 — 1869, rozprawa „Matejko i Słowacki" jest jedyną dotąd, nowatorską próbą określenia pozycji wielkiego artysty w sztuce polskiej. Naprowadza to nas na inną cechę Wyki — uczonego: jest nią z jednej strony umiejętność odkrywczego wyboru najcenniejszej tradycji kulturalnej, z drugiej — skrupulatna troska, by z tej tradycji nic nie uronić i nie zmarnować w procesie kształtowania świadomości narodu socjalistycznego. To przecież Wyka pierwszy wskazał na twórczość Prusa jako najwyższe osiągnięcie powieści polskiej, to on umiał odróżnić wielkość Żeromskiego od mielizn „żeromszczyzny", on pierwszy dopominał się o godne uczczenie rocznicy Słowackiego. Z drugiej strony on bronił i broni przed lekkomyślnością fałszywego rewizjonizmu — wartościowej części dorobku Norwida, Sienkiewicza, Wyspiańskiego, Kasprowicza.

Ta pasja — powiedzmy — obrończa czerpie swą siłę napędową z głębokiego, uczuciowego związania się badacza z kulturą ojczystą. Ale zarazem działa tu jeszcze inna siła napędowa, ta sama, która podyktowała Wyce w roku 1945 jego reportaż o pałacu krzeszowickim, która podyktowała takie oto słowa o dziedziczeniu kultury przeszłości przez lud, słowa zabarwione wzruszeniem — nie częstym u tego „krytyka o spokojnych nerwach": „Jesteśmy świadkami tego jedynego w dziejach świata procesu. Jesteśmy jego świadkami w naszym kraju. Czyż może być piękniejsze zadanie dla humanisty, jak pokazać prawa naukowe tego procesu, jak śledzić, że proces ten złożony jest z postępu, sprawiedliwości, a służy wielkim wartościom kultury narodu, która staje się własnością masy ludowej, jedynej naprawdę godnej jego dziedziczki".

Wyka-krytyk i naukowiec oddziaływa nie tylko słowem pisanym. Oddziaływa również jako profesor i prelegent. Dzięki niemu Uniwersytet Jagielloński stał się pierwszą chyba po wojnie uczelnią, w której ex cathedra głoszona była nowatorska wiedza o literaturze, wprawdzie nie od razu marksistowska, ale zawsze racjonalistyczna, społecznie postępowa. Autorytet naukowy, talent wykładowcy, wreszcie—niechże nie zabraknie tu tej cechy człowieka — niepowszedni urok intelektualny Wyki przyczynił się poważnie do przełomu ideologicznego wśród znakomitej większości młodzieży polonistycznej. Umiejętność dostrzeżenia skromnego choćby jeszcze zawiązku uzdolnień naukowych czy krytycznych, ustawienia zawsze „właściwego człowieka na właściwym miejscu", jakże taktownego i dyskretnego, niemal koleżeńskiego pokierowania jego pracą — te wszystkie cechy Wyki-wychowawcy sprawiły, że ośrodek krakowski wydał po wojnie sporą już grupę nowych, wartościowych piór, bez których trudno sobie już dzisiaj wyobrazić naszą młodą polonistykę; że — mimo odpływu wielu do Warszawy — potrafił utrzymać pismo literackie, że — jako pierwszy — organizuje obecnie własną „filię" Instytutu Badań Literackich.

Państwo Ludowe wysoko oceniło osiągnięcia naukowe, wysiłek pedagogiczny, udział w budownictwie kulturalnym Kazimierza Wyki, odznaczając go Sztandarem Pracy II klasy i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, wyróżniając go w roku ubiegłym Państwową Nagrodą Naukową. Ocenę tę potwierdza dziś zaufanie wyborców wysuwających jego kandydaturę do uczestnictwa w reprezentacji narodu — w Sejmie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Kazimierz Wyka temu zaufaniu sprosta.

Henryk Markiewicz

Idea staje się życiem

(Dokończenie ze str. 1-ej)

kie zamieszanie w umysłach amerykańskich wyborców, że ani trzeźwa analiza interesów amerykańskiego kapitalizmu, ani tym bardziej zdrowy rozsądek nie wystarczają, gdy chce się przewidzieć politykę międzynarodową Stanów.

Najpotężniejsze mocarstwo kapitalistyczne kroczy przez historię bez żadnej stałej linii politycznej, od przypadku do przypadku, kierowane jednym pragnieniem: podbicia kuli ziemskiej. W tym leży największe niebezpieczeństwo —dla świata niewątpliwie, dla samej Ameryki — w pierwszym rzędzie.

*

Na tle tego chaosu tym bardziej uderza spokój, konsekwencja, długofalowość polityki zagranicznej ZSRR. Główną myślą przewodnią tej polityki jest walka o zachowanie pokoju.

Dlaczego? Czy dlatego, że politycy radzieccy są tacy cichutcy, grzeczni, zawodowi pacyfiści? Czy dlatego, że Związek Radziecki jest taki słabiutki i przestraszony propagandą wojenną Ameryki?

Dlatego że ustrój Związku Radzieckiego jest inny. Że nie ma w nim sił, które by wygrywały na zwycięskim wyniku wojny. Dlatego że nie potrzebuje on żadnych zewnętrznych rynków zbytu dla swojej produkcji — bo jego rynek wewnętrzny praktycznie mówiąc jest nieograniczony.

Dlatego że posiada on jasną i wyraźną perspektywę rozwojową, nie boi się przyszłości, wie, że pokój pozwoli mu przyśpieszyć marsz ku komunizmowi, że wojna—jak wykazało niedawne doświadczenie — marsz ten opóźnia, nawet gdy się kończy zwycięstwem.

Ale najpiękniejsza nawet koncepcja polityczna nabiera sensu dopiero, gdy się ma odpowiednią siłę, by ją zrealizować. Czy Związek Radziecki posiada taką siłę?

Na szczęście, tak. Związek Radziecki może prowadzić swoją politykę walki o zachowanie pokoju, bo jest silny, bo kandydaci na nowych hitlerów mają uzasadnione podstawy do obaw, że jeśli zaczną, jak tamten — skończą nie inaczej.

Źródłem tej siły z pewnością nie jest ani obszar ZSRR, ani jego klimat — tylko głupcy mogą w to wierzyć. Gdyby naród radziecki nienawidził swego ustroju, gdyby nawet po prostu był dlań obojętny — żadne mrozy, żadne przestrzenie nie zatrzymałyby hitlerowców w jesieni 1941 roku.

Źródłem tej siły jest właśnie naród radziecki, który poznał swój ustrój w klęskach i w powodzeniach, zrozumiał jego sens, poznał i przyjął ideologię, będącą duszą tego ustroju, zaufał partii bolszewickiej i przekonał się, że nie zawiodła ona jego zaufania. Bez tego całkowitego zaufania, bez tego poparcia całego narodu, żadna partia nie potrafiłaby podołać trudnościom, które stawały jedno po drugim na drodze radzieckich komunistów.

Ta partia, która pierwsza na świecie potrafiła wcielić w życie swoją ideologię, która pierwsza na świecie potrafiła tak głęboko i bezpośrednio związać się ze swoim narodem — nie rzuca słów na wiatr i zwołuję swoją władzę naczelną— Zjazd — wtedy, gdy wielkie sprawy stoją na porządku dziennym jej kraju.

Naród polski wita Zjazd Partii Stalina z otuchą i nadzieją. Są ciemne siły na świecie, którym się marzy nowa zawierucha wojenna. A my właśnie wychodzimy z ruin wojennych. Są ciemne siły, którym solą w oku jest nasza radość z pierwszych powodzeń; które by chciały, by kraj nasz był jak ropiejąca rana.

Nie po raz pierwszy w historii Polska stawała na drodze wielkim drapieżcom. I zazwyczaj składało się tak, że nasz narodowy interes, nasze istnienie łączyło się nierozerwalnie z wielkimi, słusznymi sprawami ludzkości, ze sprawą postępu, sprawiedliwości, pokoju. Bywaliśmy słabi. Miewaliśmy złych i niemądrych przywódców. Nie umieliśmy zrobić u siebie porządku, nie umieliśmy zbudować sprawiedliwego ustroju, oprzeć się na ludzie, wybrać właściwych sojuszników. W świecie, rządzonym prawami dżungli, w świecie kapitalistycznym, istnienie naszego państwa było niepewne i nietrwałe nawet, gdy słuszność była po naszej stronie.

Nie chcemy więcej, żeby Polska była męczennicą narodów. Zasmakowaliśmy już nowego życia, nowego ustroju i wiemy, że wszystkie nasze trudności obecne nic nie znaczą wobec jego trwałości i siły. Chcemy żyć w spokoju, chcemy zobaczyć całą Marszałkowską w granicie i marmurach, chcemy szybciej ujrzeć uregulowaną Wisłę. Nie chcemy stygmatów na ciele naszego narodu.

Ponad wojenne pogróżki, ponad histeryczne wykrzykiwania wznosi się głos Stalina, głos Jego Partii. Zapowiada on drogę do lepszej ludzkości. Na tej drodze jest miejsce naszego narodu.

Jerzy Putrament

ZBIGNIEW WASILEWSKI

LEON

Zarys sylwetki ideowo-twórczej Leona Kruczkowskiego można by zacząć stereotypowo, jak zaczynają się notatki w encyklopediach: „Literat i działacz społeczny, urodził się w Krakowie dnia . . . 1900 r.; wydał przed wojną 1 tomik poezji („Młoty nad światem", 1928) i 3 takie to a takie powieści".

Lecz rzecz w tym, że osoba i działalność Kruczkowskiego zdecydowanie nie mieszczą się w ramach encyklopedycznej czy — jak wolicie — dziennikarskiej notatki. Ważki ideowo i artystycznie dorobek pisarski autora „Niemców" nie daje się określić samymi tytułami utworów, choć znane są już one setkom tysięcy i milionom czytelników w kraju i za granicą, a znaczenia jego działalności społecznej nie wyczerpuje rejestr czynności i obowiązków. Kruczkowski był bowiem w ciągu niemal ćwierci stulecia — od 1930 roku, kiedy z manuskryptem „Kordiana i chama" w ręku rozpoczął długą wędrówkę po firmach wydawniczych w poszukiwaniu nakładcy — przykładem nowego typu pisarza prawdziwie ludowego — tego typu, o którym sam pisał w roku 1950: „*Nową funkcję pisarza można określić krótko mianem aktywizmu społecznego. Chodzi tu nie tyle o aktywizm w sensie faktycznej działalności społeczno - politycznej* (od tej, dodajmy od siebie, Kruczkowski nigdy się nie uchylał), *lecz przede wszystkim o czynną i świadomą rolę społeczną samej twórczości, o współodpowiedzialność aktów twórczych za budowanie nowych form życia, nowej socjalistycznej kultury i nowego socjalistycznego człowieka. Chodzi o ten rodzaj aktywizmu społecznego, który tętnił — w różnych epokach literatury — w twórczości wielkich i największych poetów świata*". (Trybuna Ludu 23.VI. 1950).

Kruczkowski, a wraz z nim i inni pisarze lewicy w dwudziestoleciu, okresie ogólnego wyjałowienia i bezideowości literatury mieszczańskiej rozumieli twórczość swą jako pracę polityczną, jako ogniwo walki o postęp i wyzwolenie człowieka pracy.

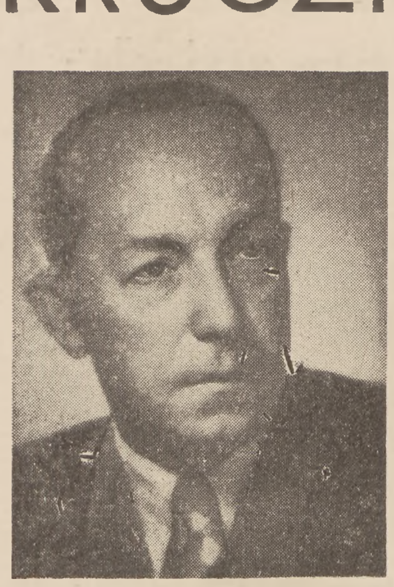
„Kordian i cham" — wraz z Broniewskiego „Troską i pieśnią" w poezji — zapoczątkował nowy okres literatury polskiej, stworzył pierwsze podwaliny realizmu socjalistycznego w Polsce. Śmiały rewizjonizm młodego pisarza poruszył wówczas publiczność, a nie była to tylko zwykła mieszczańska publiczność literacka. Utwór Kruczkowskiego, wydrukowany w całości przez „Zielony Sztandar", „Naprzód", i „Głos Pracy", wznawiany jeszcze trzykrotnie w wydaniu książkowym, inscenizowany przez postępowy teatr warszawski i zespoły młodzieży wiejskiej — dotarł do przedmieść robotniczych i radykalizującej się wsi polskiej. Przeczytajmy, co w „Młodym pokoleniu chłopów" piszą o nim młodzi działacze ludowi, co głosi nie przyjaciel przecież, lecz przeciwnik polityczny, Stanisław Piasecki: „Powieść Kruczkowskiego, zaczytywana do zdarcia kartek we wszystkich bibliotekach ludowych, staje się dla pisarzy chłopskich ewangelią..." — przypomnijmy literacki, lecz jakże prawdziwy historycznie fragment „Pamiątki z Celulozy": gdy Szczęsny z nakładem bibuły przyjeżdża z Rzekucia do Włocławka, idzie przede wszystkim do księgarni po książkę o „kurhanie i chamie", której domaga się koło młodzieży wiejskiej...

Tym, co uczyniło z powieści Kruczkowskiego wydarzenie dnia i oręż polityczny, było spojrzenie na przyszłość oczyma mas ludowych, było stwierdzenie, że „*ojczyzny są różne... Chłopska ojczyzna — to jest głód, zimno, choroby i praca równa bydlęcej, chłosta i klątwy, i uciemiężenie. Ona zawsze była oddzielona od ojczyzny szlachty — sytej, dostatniej ojczyzny, świętującej hucznie, pańskiej*", było — krótko mówiąc — ukazanie klasowej rzeczywistości wsi, niekłamany realizm dzieła. Już pierwszy utwór pisarza, pełen głębokiej pasji ideowej i prawdziwego, bo opartego na zrozumieniu praw historii, humanitaryzmu, podważał uświęcone przez burżuazję zasady wyzysku, ukazywał krzywdę mas ludowych, obnażał nicość ideową i moralną wyzyskiwaczy, godził w kłamliwą ideologię zgody klasowej i solidaryzmu narodowego, w państwowy aparat ucisku, w ustrój kapitalistyczny i dwory obszarnicze, żerujące na wsi polskiej. To znaczenie powieści zrozumiał trafnie obóz lewicy: „*Kordian i cham" jest dotychczas najcenniejszym i najsumienniejszym dorobkiem prozy robotniczej w Polsce*" — stwierdzał w „Lewarze" Jerzy Borejsza (Nr 1 z 10.I. 1935).

I odtąd każde wystąpienie Kruczkowskiego — literackie czy publicystyczne, bo publicystyki się nie lękał — było wydarzeniem o dużym napięciu ideowym. Przez końcowe lata drugiej niepodległości pisarz stał w pierwszym szeregu walczącej lewicy społecznej, brał udział w akcjach jednolitego frontu kulturalnego, a wystąpienia cyfrowane jego nazwiskiem oznaczały miejsca, gdzie toczy się bój z faszyzmem. — „Pawie pióra" przeprowadzały rozprawę z pseudoradykalną frazeologią piłsudczyzny i piętnowały zdradziecką rolę prawicy ludowej spod znaku „Piasta", wskazując zarazem — w roku walki o jednolity front antyfaszystowski — konieczność sojuszu pracujących miast i wsi. „Sidła" toczyły gorącą walkę z ideologią ONR-u i ukazywały bazę rekrutacyjną tego najbardziej reakcyjnego, choć skrytego pod radykalnym szyldem, pogromowego odłamu faszyzmu: drobnomieszczańską kołtunerię. Takie wystąpienia wystawiały autora na cel bojówek faszystowskich, nie uniknął też Kruczkowski napaści w czasie głośnego zajścia w krakowskim „Collegium Novum" w 1934 r.

Nie ze wszystkim jeszcze opanował Kruczkowski realistyczną metodę twórczą, niezupełnie klarowny ideologicznie był jeszcze jego obraz sytuacji klasowej w ówczesnym świecie — trudne to były czasy, trzeba było prześwietlać je reflektorem stalinowskiej myśli politycznej, aby dostrzec kontury przyszłości; świadomość pisarza nie dotarła jeszcze do tej prawdy, a przecież szedł on naprzód równając swój krok z krokiem mas pracujących, a szereg jego wystąpień zachował po dziś

KRUCZKOWSKI



dzień trafność dostępną tylko ideologowi-marksiście.

To bodaj Kruczkowski pierwszy ONR-owskim próbom aneksji radykalizmu całego młodego pokolenia w Polsce przeciwstawił stwierdzenie, że *„wzdłuż, nie w poprzek dziejów"* biegnie linia podziału ideologicznego: nie oddziela ona starych od młodych, lecz obrońców kapitału od zwolenników socjalizmu. — To Kruczkowski wystąpił z atakiem, nieprecyzyjnym jeszcze, niedostatecznie skutecznym, ale gorącym i ostrym, na oszukańczy „socjalizm moralny" De Mana, lansowany z zapałem przez rodzimych rewizjonistów marksizmu („Dlaczego jestem socjalistą?" 1938). — To Kruczkowski zwalczał antysemityzm i „rasizm psychiczny" faszystów majaczących o „polskim imperializmie idei". — To on przepowiadał szeroki front narodu budującego socjalizm, stwierdzając, że *„Dylematowi: nacjonalizm — chrystianizm przeciwstawić należy jako tertium datur — socjalizm, doktrynę nie idealistyczną, jak chrystianizm, lecz stawiająca ideał wyraźny i mocno ugruntowany w realnych siłach rozwojowych ludzkości. Doktrynę b a r d z i e j n a r o d o w ą niż nacjonalizm, bo nie rzucającą narody przeciw narodom, ale postulującą sprawiedliwość społeczną i pełnię życia kulturalnego dla najliczniejszych pracujących mas narodu".*

To Kruczkowski „w klimacie dyktatury", który snuł się w Europie Hitlera, Mussoliniego i Franco, przesłaniając brunatnym cieniem i Polskę, głosił, że sprawa wolności w naszym kraju *„na lud tylko liczyć może, który ją... ożywia co dzień mozołem swojej pracy. Dla niego zaś — dla ludu — jedynym powietrzem oddychalnym, jedynym klimatem, w którym może on czuć się i być naprawdę n a r o d e m — jest klimat d e m o k r a c j i. Klimat rozwoju i wzrostu, klimat — jak Żeromski to określił — „wielkiego pracowiska postępu", klimat dobrobytu i kultury, klimat prawdy i sprawiedliwości: klimat P o l s k i L u d o w e j.*

Taką zdawała się wychodzić z więzów niewoli wtedy, owej jesieni przed laty dziewiętnastu, taką, wierzymy, w y j d z i e n a p e w n o z m r o k u d n i d z i s i e j s z y c h!" („W klimacie dyktatury" 1938, s. 75).

Przepowiedziana przez pisarza, wyszła taką z dna ciemności lat okupacji, które dla Kruczkowskiego były okresem przymusowej bezczynności w hitlerowskim oflagu. Był to zarazem okres ostatecznej próby ideowej. Autor „Odwetów" wynosi spoza drutów obozu okrzepniętą świadomość polityczną, którą dokumentuje w roku 1945 wstąpieniem w szeregi Polskiej Partii Robotniczej. W pierwszym, najtrudniejszym okresie powojennym pełni urząd wiceministra Kultury i Sztuki, kładąc fundamenty nowej organizacji życia kulturalnego i artystycznego; zostaje posłem do I Sejmu nowej Polski. W toku pracy politycznej trzyma rękę na pulsie najbardziej żywych spraw codziennych, znajduje czas na twórczość literacką: „Odwety" poruszają w roku 1947 opinię publiczną podjęciem węzłowych problemów współczesnych — rozładowania psychicznych reliktów okupacji, walki z reakcyjnym podziemiem. I wreszcie w roku 1949 „Niemcy", największy obok „Ostatniego etapu" sukces artystyczny pierwszego pięciolecia po wojnie. Sukces nie przypadkowy, choć z pewnością zadziwiający niewtajemniczonego obserwatora: Polak pisze po latach Oświęcimia i Majdanka wnikliwą i nieuprzedzoną analizę społeczeństwa niemieckiego, której mottem przewodnim jest pierwotny tytuł utworu: „Niemcy są ludźmi"!

Temat niemiecki nie był dla Kruczkowskiego nowością. Czternaście lat wcześniej, w zaginionym czasu wojny „Bohaterze naszych czasów", dał on zjadliwą i celną satyrę antyfaszystowską, osnutą na tle autentycznego wydarzenia przypominającego słynną historię „kapitana z Koepenick". Na temacie wyjętym z hitlerowskiej tragifarsy politycznej lat 1933—35 autor przedstawił działanie ciemnych sił nacjonalizmu i ducha prusactwa, które ogarniały w sercu Europy dawny „naród filozofów". — Teraz, w „Niemcach" sprawa stoi szerzej i głębiej zarazem. Z perspektywy rozbicia hitleryzmu przez armię państwa socjalistycznego, wspierając się na nowoczesnej nauce marksizmu-leninizmu, mógł Kruczkowski podjąć „polską próbę przedarcia się przez gęste i lepkie opary naszej pamięci o prawdzie hitlerowskiej okupacji" — mógł rozwikłać sprawę niemiecką zgodnie z historią, a zarazem zgodnie z polską i niemiecką racją stanu. Trzeba było rewolucji społecznej w Polsce i części Niemiec, trzeba było nadto u pisarza dużej dojrzałości i precyzji politycznej, aby powstało udatne artystycznie dzieło, które — podobnie jak cytowane stwierdzenie Kruczkowskiego o młodzieży polskiej w dwudziestoleciu — głosi, iż *„prawdziwy front współczesnych walk o losy świata przebiega nie pomiędzy narodami, lecz p o p r z e z n a r o d y — że i w Niemczech przebiegał on, i dziś przebiega tak samo: między demokracją a faszyzmem czy neofaszyzmem, między pokojem a wojną".* („Spotkania i konfrontacje" 1950, s. 122).

Między pokojem i wojną... Premiera „Niemców" zbiegła się z powstaniem Niemieckiej Republiki Demokratycznej — czyż trzeba lepszego potwierdzenia trafności myśli pisarza, politycznej celności jego dzieła?

Sprawa niemiecka jest centralnym problemem zapobieżenia wojnie, utrwalenia pokoju — nie przypadkiem autor „Niemców" stoi od lat w pierwszym rzędzie polskich bojowników o pokój. Demaskuje zmowę grabieżców, gniewnym słowem piętnuje spisek podpalaczy, obala mity neutralności w wielkim starciu obozów życia i śmierci.

Uczestnik kongresów we Wrocławiu, Paryżu i Warszawie, sesji w Sztokholmie i Berlinie, wiceprzewodniczący Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, członek Światowej Rady Pokoju, gorący orędownik tej najważniejszej sprawy współczesnej ludzkości — Leon Kruczkowski, przewodniczący Związku Literatów Polskich wybrany na szczecińskim Zjeździe Pisarzy w roku 1949 — przedstawiciel sumienia narodu wyrażonego w słowie polskim — był tym delegatem światowego ruchu oporu przeciw imperializmowi i wojnie, który w grudniu 1950 przedłożył Sejmowi R.P. projekt ustawy o obronie pokoju i zakazie propagandy wojennej.

Taki pisarz i działacz polityczny — który na pewno obdarzy nas jeszcze niejedną cenną pozycją literacką i na pewno nie poszczędzi sił w walce o rozwój sprawiedliwości społecznej na całym świecie — staje dziś przed narodem jako kandydat do jego najwyższej reprezentacji. Wybór Leona Kruczkowskiego do Sejmu Ustawodawczego Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej będzie głęboko zasłużony całym jego życiem i pracą.

Zbigniew Wasilewski

A D A M K O T U L A

„OSKARŻAM!"

W pięćdziesiątą rocznicę śmierci Zoli

Nie, panowie, my nie zgodzimy się, my nie możemy się zgodzić na to, by w postaci Emila Zoli próbowano oddzielić wielkiego robotnika literatury od wielkiego obywatela. Jako robotnik literatury, jako obywatel, był energicznym bojownikiem prawdy, i ta właśnie namiętna miłość do tego, co prawdziwe i słuszne, stanowi o głębokiej jedności jego dzieła i życia" — mówił w 1909 r. Jaurès broniąc wielkiego pisarza przed oszczerstwami Barrèsa, który insynuował, jakoby Zola wystąpił w obronie Dreyfusa jedynie dlatego, że znudziła mu się literatura i szukał nowych wrażeń. W rzeczywistości bowiem słynne *Oskarżam* było naturalną konsekwencją postawy Zoli-pisarza, którego twórczość jest jednym wielkim oskarżeniem burżuazji.

Pragnąc podważyć autorytet Zoli, zatuszować jego wrogość dla burżuazji i poddać w wątpliwość szczerość jego wystąpienia w 1898 r., reakcyjni krytycy powoływali się i powołują się na jego teorie *„powieści eksperymentalnej"*, na jego rzekomy *„obiektywizm"* i niechęć dla polityki, uznając to za typowe dla postawy Zoli, zarówno pisarza jak i człowieka. Jak słusznie jednak zauważył Lukacs: *„Zola jest tylko dlatego wielkim pisarzem, że nie zawsze był konsekwentny w realizowaniu swego programu".*

Zgodnie ze swoimi teoretycznymi wypowiedziami Zola pragnął być tylko „obiektywnym" obserwatorem, bo pisarz — jego zdaniem — ma stwierdzać jedynie istniejące fakty, nie powinien natomiast niczego komentować, niczego uogólniać, nie powinien wyciągać żadnych wniosków. *„Autor powieści to nie moralista, lecz anatom, który zadowala się skonstatowaniem tego, co znalazł w ludzkich zwłokach".* A w innym miejscu pisze: *„Nie próbuję bronić ustroju politycznego, nie chcę bronić jakiejkolwiek polityki i religii. Obraz, który maluję, jest prostym wycinkiem rzeczywistości takiej, jaką ona jest".*

Ale w świecie kapitalistycznym „obiektywna" postawa „naukowca" obojętnie notującego zaobserwowane fakty nie dała się utrzymać. Gromadząc — jak tego chciał Zola — *„dokumenty ludzkie"*, pisarz musiał się zetknąć z problemem krzywdy społecznej, z nędzą i wyzyskiem mas pracujących — i jeśli nie był człowiekiem zdeprawowanym przez panujący ustrój kapitalistyczny, jeśli zachował ludzkie uczucia — musiał zareagować, musiał wystąpić przeciw burżuazji. Tak właśnie było z Zolą. Dlatego też nie mógł pozostać i nie pozostał biernym obserwatorem jak wielu ówczesnych dyletantów i „wirtuozów" sztuki.

Krytykując Balzaka Zola zarzucał mu, że *„gubił się w poszukiwaniach fałszywej wielkości i grozy"*, zarzucał wyolbrzymianie postaci, *„brak miary i dziwactwo kompozycji"*. W swej praktyce twórczej Zola doszedł, choć w innym sensie, do podobnych wyolbrzymień. W powieściach Zoli takim bohaterem o przesadnych proporcjach jest z jednej strony zgniła, zdeprawowana burżuazja — z drugiej strony proletariat doprowadzony przez burżuazję do ostatecznej nędzy. Taka jest istota ustroju kapitalistycznego, ukazana przez Zolę — i na tym, pomimo wszystkich ograniczeń wynikających z fałszywej metody pisarskiej, polega demaskatorskie znaczenie jego powieści, w tym objawia się ich realizm.

Balzac był „sekretarzem" społeczeństwa burżuazyjnego w okresie rozkwitu kapitalizmu. Zola w szeregu powieści ukazuje — niestety w sposób zbyt powierzchowny — mechanizm rodzącego się imperializmu.

Za czasów Balzaka banki, o tak rozgałęzionej sieci interesów jak dom Nucingena, należały do wyjątków. Dopiero za Drugiego Cesarstwa zaczyna się przyśpieszony proces koncentracji kapitału bankowego. Wielkie domy bankowe likwidują lub uzależniają od siebie małe banki prowincjonalne, podporządkowują sobie coraz bardziej przemysł. Jest to epoka operacji finansowych na wielką skalę, a zarazem epoka wielkich skandali, które zresztą Trzecia Republika będzie kontynuować. Kulisy jednej z takich oszukańczych operacji, jednej z takich gigantomachii giełdowych odsłonił Zola w swej powieści *Pieniądz*, odtwarzając dość wiernie historię walki Rotschilda z katolickim bankiem Union Générale, którego krach wstrząsnął Francją w 1882 roku. Skandal Panamski znajdzie swoje echo w powieści *Paryż*.

Balzakowscy chłopi zaspokajali swój głód ziemi nabywając parcele z sąsiednich majątków. Za czasów Zoli parcelacja majątków należy do przeszłości. Obszarnicy przechodzą na wielkokapitalistyczny system produkcji; rozpowszechnia się użycie maszyn i nawozów sztucznych. Równocześnie zjawia się nowy czynnik ekonomiczny: import tanich produktów rolnych z Ameryki, Rosji i Indii. W tej sytuacji chłopi mogą tylko walczyć o ziemię między sobą, a dawny lęk przed nieurodzajem, przed brakiem zboża i mięsa zastępuje lęk przed ich nadmiarem. *„Koszmarem dzisiejszego chłopa* — notuje Zola w szkicach do *Ziemi* — *jest widok napływających lawin zboża, stad wołów, całych flot, które zalewają Francję tanim chlebem i mięsem niszcząc nasze rolnictwo i naszą hodowlę".*

Gdy Balzac opisywał sfery handlowe, ukazał mały sklepik, w którym panują dość familijne stosunki, sklepik zatrudniający dwóch, trzech pracowników. W epoce wzrastającej koncentracji kapitałów powstają wielkie magazyny, zajmujące całe domy, zatrudniające tysiące pracowników, dysponujące ogromną reklamą, przyciągające klientów różnorodnością i bogactwem towarów. Jednym z takich bazarów, które z całą bezwzględnością niszczą drobne sklepiki, przyciągają ich klientelę, a właścicieli zamieniają w płatnych pracowników jest wielki magazyn *Wszystko dla pań*, założony przez Moureta, typowego rekina kapitalistycznego.

Podobnym rekinem jak wielkie banki i domy handlowe jest ukazana przez Zolę w *Germinalu* potężna Kompania posiadająca szereg kopalń, dysponująca ogromnym kapitałem, który pozwala jej nie tylko złamać strajk górników, ale także wykorzystać go, by zniszczyć konkurenta, Deneulina, i za bezcen wykupić od niego kopalnie, których ten nie jest w staniej dłużej prowadzić.

Wielka burżuazja ma na swoje usługi cały aparat państwowy. Administracja, policja, wojsko stoją na straży interesów zarówno Kompanii, jak i państwa Grégoire, którzy ulokowali majątek w akcjach kopalni, uważając, że pieniądze najbezpieczniejsze będą pod ziemią *„skąd lud górniczy, całe pokolenia głodomorów wydobywały je dla nich, codziennie po trochu, stosownie do ich potrzeb".* Wiernym sojusznikiem burżuazji jest również kler wmieszany we wszystkie reakcyjne intrygi. Zola ukazuje cały szereg sylwetek księży w swoich powieściach z cyklu *Rougon Macquart*, specjalną zaś powieść, *Rzym*, poświęca Watykanowi związanemu z wstecznictwem społecznym, demaskując intrygi wysokiego kleru rzymskiego, który staje w poprzek wszelkim próbom reform społecznych.

Wzrastającej koncentracji kapitałów towarzyszy coraz większa degradacja i demoralizacja drobnej burżuazji. *„Wysiłki* — pisze Lafargue — *które pozwalały ludziom w czasach Balzaka dorabiać się majątku — wspinając się po plecach konkurentów i depcąc po ich trupach — dziś pozwalają im zaledwie na nędzną wegetację. Dawny charakter walki o życie zmienił się, a razem z nim zmieniła się natura ludzka, stała się bardziej podła, bardziej licha".* Zola pokazał w swoich powieściach, jak człowiek w ustroju kapitalistycznym zostaje unicestwiony i zmiażdżony przez wielkie organizmy ekonomiczne.

„Mówić o burżuazji, to znaczy spisywać akt oskarżenia najbardziej gwałtowny, jaki można skierować przeciwko społeczeństwu francuskiemu... Pokazać burżuazję w całej nagości, pokazawszy uprzednio lud, i pokazać ją bardziej wstrętną, choć uważa się za wcielenie porządku i uczciwości" — notuje Zola w szkicu do powieści *Garkuchnia*, która jest jakby koncentratem pełnej ohydy, fałszu i zakłamania moralności mieszczańskiej, ukrytej za fasadą domu, w którym wszystko zda się tchnąć surową cnotą.

Nie, Zola nie mógł być i nie był „obiektywnym". Natężenie odrażających rysów, koncentrowanie wyjątkowo wstrętnych postaci, kontrastowanie obrazów, jasno dowodzi intencji pisarza. Powieści o nędzy ludności paryskich przedmieść, *W matni*, przeciwstawia *Garkuchnię*, gdzie zgromadził w jednym domu „strasznych mieszczan", ukazał ich życie ohydne i nieludzkie, z którym kontrastują przewijające się jak refren przez karty powieści eleganckie schody i tchnące czcigodnością mahoniowe drzwi frontowe.

Zola jest pierwszym pisarzem, który wprowadził do literatury francuskiej proletariat, poświęcając mu przede wszystkim dwie powieści: *W matni* i *Germinal*. *W matni*, to obraz potwornej, beznadziejnej nędzy ludności przedmieść Paryża, nędzy przytłaczającej i deprawującej człowieka. Zola jednak nie ogranicza się do prostego odtworzenia rzeczywistości — lecz stara się również wskazać źródła istniejącego stanu rzeczy, wskazać winnych. Powieść ta jest znowu oskarżeniem burżuazji. Broniąc się przed zarzutami, że oczerniał lud, Zola pisał: *„Jeśli chciano by mnie koniecznie zmusić do wyciągnięcia wniosków, powiedziałbym, że cała powieść W MATNI może być streszczona w tym zdaniu: zamknijcie szynki, otwórzcie szkoły... Dorzuciłbym jeszcze: uzdrówcie przedmieścia i podnieście płace. Zagadnienie mieszkań ma znaczenie zasadnicze: smrodliwe ulice, brudne schody, ciasny pokój, gdzie śpią pomieszani ojcowie i córki, bracia i siostry, są główna przyczyną deprawacji przedmieść. Praca ponad siły, która zbliża człowieka do bydlęcia, niedostateczna płaca, która powoduje zniechęcenie i każe szukać zapomnienia, wszystko to sprawia, że zapełniają się szynki i domy publiczne. Tak, lud jest taki, ale dlatego, że tak chce społeczeństwo".* Podobnie pisał w osiem lat później gdy ponowiono zarzuty w związku z obrazem życia górników w *Germinalu*: *„Oskarżają mnie o plugawą fantazję, o celowe kłamstwa na temat biednych ludzi, którzy oczy moje napełnili łzami. Dlaczego miałbym oczerniać nędzarzy? Miałem jedno tylko pragnienie: pokazać ich takimi, jakimi uczyniło ich społeczeństwo, i wzbudzić taką litość, taki krzyk o sprawiedliwość, by Francja nie pozwoliła się dłużej niszczyć przez ambicje garści polityków, a zajęła się zdrowiem i dobrobytem swoich dzieci".*

Germinal jest jednak czymś więcej niż prostym krzykiem o sprawiedliwość. Zola nie zwraca się tu wyłącznie — jak w powieści *W matni* — do „uczciwej" burżuazji, do jej rozsądku, nie oczekuje wyłącznie od niej polepszenia bytu robotników, lecz wykazuje, że klasa robotnicza potrafi sama o swoje prawa się upomnieć i choć burżuazja niejeden jeszcze strajk krwawo stłumi, robotnicy potrafią lepiej, bardziej świadomie się zorganizować i dokończyć dzieło rozpoczęte przez Rewolucję Francuską. Powieść kończy się wizją bliskiej rewolucji, *„tej prawdziwej, rewolucji proletariackiej"*, wizją kiełkowania (germination, stąd tytuł *Germinal*) armii mścicieli, która rośnie pod ziemią i wkrótce ją rozsadzi.

Odtąd Zola stale wprowadza do swoich powieści postaci różnych działaczy dążących do przebudowy ustroju. W *Germinalu* obok Lantiera, którego idee są dość niejasne, choć zwolna w czasie strajku się krystalizują, ukazuje postać anarchisty Suwarina i dość dwuznacznego przedstawiciela Międzynarodówki, Plucharta. W *Ziemi* będzie to Leroi, cieśla, zaszczepiający na wsi pierwsze, dość zresztą mętne, idee socjalistyczne. W *Pieniądzu* wprowadza Zola postać „ucznia Marksa", Zygmunta Boscha, którego poglądy w rzeczywistości niewiele mają wspólnego z Marksem, lecz są mieszanką idei utopistów z 1848 r., Proudhona, Fouriera i Cabeta. W *Paryżu* — socjalista Mège. *Trzy miasta (Lourdes, Rzym, Paryż)* — to dzieje księdza Froment, który od koncepcji nowego, bardziej postępowego katolicyzmu, będącego czymś w rodzaju chrześcijańskiego socjalizmu, dochodzi do koncepcji przebudowy świata dzięki nauce, dzięki jej rozwojowi, pojętemu zresztą dość mechanicznie. A wreszcie w *Czterech Ewangeliach* Zola próbuje ukazać wizję nowego, zbudowanego na pracy, sprawiedliwości i prawdzie świata, przy czym Zola oparł się na utopijnych ideach Fouriera.

Zola szukał dróg wyjścia. Już w epoce *Germinalu* (1884—85) ma świadomość, że konieczną jest zmiana ustroju, coraz mniej liczy na burżuazję i zwraca się ku proletariatowi, ku socjalizmowi. Zbierając materiały do *Ziemi* pragnie zapoznać się z poglądami socjalistów, z ich programem. Szuka kontaktów z Juliuszem Guesde i w 1886 r. uzyskuje dwukrotnie widzenie z przywódcą Partii Robotniczej, i w czasie rozmowy z nim robi bardzo obszerne notatki, które częściowo wykorzysta w czasie pisania powieści. Mimo to Zola nie doszedł nigdy do koncepcji rewolucyjnych, cofał się przed uznaniem konieczności rewolucji proletariackiej, szukał ucieczki w teoriach utopistów. Poglądy jego „socjalistów", jego „marksistów" są mieszaniną najrozmaitszych systemów dalekich od marksizmu. Do końca pozostał w pół drogi. Potępił burżuazję, potępił ustrój kapitalistyczny oparty na wyzysku mas ludu pracującego, widział konieczność zbudowania nowego ustroju opartego na pracy — gdy jednak trzeba było wskazać drogi wiodące do tego nowego, sprawiedliwego ładu społecznego, Zola nie potrafił stanąć po stronie idei rewolucyjnych, po stronie marksistowskich koncepcji przebudowy świata. Inna rzecz, że wówczas ich w ruchu socjalistycznym we Francji nie było.

Marksistowska Partia Robotnicza, kierowana przez Guesde'a już w połowie lat dziewięćdziesiątych odeszła od pozycji rewolucyjnych, zasklepiając się coraz bardziej w ciasnym doktrynerstwie, a w czasie sprawy Dreyfusa zerwała zupełnie kontakt z masami. Partia ta zresztą nigdy nie miała wielu zwolenników w samym Paryżu, gdzie były bardzo silne tradycje socjalizmu utopijnego, wzmacnianego oportunistyczną postawą wielu przywódców oraz ciśnieniem drobnej burżuazji, która zawiedziona na

(Dokończenie na str. 7-ej)

J E R Z Y J A N I C K I

Jak w „Gremiaczym Łogu"...

Do
Komitetu Wyborczego Frontu Narodowego
dla Okręgu Nr 64
w Rzeszowie

Przeczytałem w dzienniku, że na listę kandydatów Okręgu Nr 64 wysunięty został Tomaka Walenty — rolnik, przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Trzebownisku. Chciałbym, choć spóźniony, zabrać jeszcze głos w dyskusji nad życiorysem naszego kandydata na posła. Oto moje trzy reporterskie uwagi:

1

Zaraz za Staromieściem stała przy szosie kapliczka; naprzeciw mieszkał Walenty Tomaka, a dalej prosto aż do młyna biegły w dwóch rzędach trzebowniskie chałupy. Jesienią dzień kładzie się szybciej na nocleg; starosta wracał przez Trzebownisko z inspekcji do domu popielatym „Packardem" i mówił do urzędnika: „co to za ludzie ci chłopi, słowo daję. Siódmej jeszcze nie ma, a już wszyscy śpią". Nafta była droga i chłopi jedli kartofle po ciemku. Z tej racji również u Tomaki czytanie kończono około piątej. Przesiadywał tam zwykle Piotr Wisz, który był we wsi kowalem, Bereś, przychodził także Porada. Porada kupił kiedyś w budce u Kupistego na dworcu w Rzeszowie „Zorany ugór". Odtąd czytali dzieje Gremiaczego Łogu i śmieli się z dziadka Szczupaka, jak mu Cyganie sprzedali napompowaną kobyłę. Kiedy coś powiodło się Dawydowi, Tomaka przerywał czytanie komentarzem: „Widzisz — Dawydow. Ten ma łeb. Bez robotnika wsi nie zmienisz".

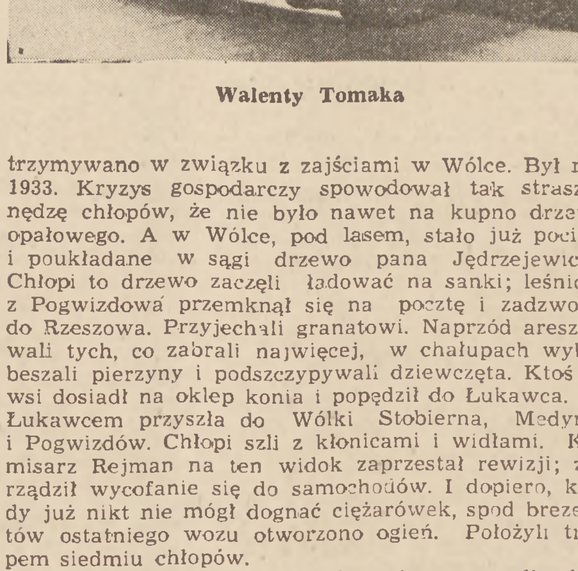
Nieoczekiwanie okazało się, że mieli tylko pierwszy tom. Trzy dni zbierali się na kupno drugiego; wisiał tam za szybą u Kupistego. Trzy dni się zbierali.

...Książka kosztowała 95 groszy.

Tomaka graniczył stodołami ze swoim bratem — Janem. Jan cierpiał biedę, pięcioro dzieci i urazę do brata. Była to uraza cicha, niewypowiedziany nigdy żal, ale we wsi domyślano się jej przyczyny. Kiedyś Jan Tomaka sprzedał na targu cielaka i od razu zaniósł pieniądze majstrowi w kolejowych warsztatach. Dzięki temu mógł najstarszy syn — Stanisław, dostać wreszcie pracę. Ale po tygodniu Stasiek wrócił z miasta w południe. Starego, który siedział akurat pod oknem, na widok syna od razu tknęło coś niedobrego. Wybiegł mu naprzeciw; Stasiek potwierdził jego obawy: „zwolnili mnie — powiedział — zwolnili, bo powiadają — Tomaków to i w Rzeszowie znają. Niby Walka...".

Walentego znano istotnie szeroko w okolicy; niestety znał go i starosta, i komisarz policji Rejman. Ten drugi miał w gabinecie nad biurkiem mapę powiatu, a na niej czerwone kółeczka zakreślały nazwy gmin. Tak granatowa policja zwykła oznaczać skupiska komunistów; wokół Trzebowniska biegło duże, może i największe kółko na całej mapce.

Tak więc Walenty był osobą znaną i dzieci Jana nie mogły dostać roboty. Dwa razy Walentego aresztowano; za drugim razem prokurator długo wahał się nad kartką zwolnienia: „diabli wiedzą, może to akurat robota tego Tomaki". Chodziło o to, że Tomakę przytrzymywano w związku z zajściami w Wólce. Był rok 1933. Kryzys gospodarczy spowodował tak straszną nędzę chłopów, że nie było nawet na kupno drzewa opałowego. A w Wólce, pod lasem, stało już pocięte i poukładane w sągi drzewo pana Jędrzejewicza. Chłopi to drzewo zaczęli ładować na sanki; leśniczy z Pogwizdowa przemknął się na pocztę i zadzwonił do Rzeszowa. Przyjechali granatowi. Naprzód aresztowali tych, co zabrali najwięcej, w chałupach wybebeszali pierzyny i podszczypywali dziewczęta. Ktoś ze wsi dosiadł na oklep konia i popędził do Łukawca. Za Łukawcem przyszła do Wólki Stobierna, Medynia i Pogwizdów. Chłopi szli z kłonicami i widłami. Komisarz Rejman na ten widok zaprzestał rewizji; zarządził wycofanie się do samochodów. I dopiero, kiedy już nikt nie mógł dognać ciężarówek, spod brezentów ostatniego wozu otworzono ogień. Położyli trupem siedmiu chłopów.



Walenty Tomaka

W związku z tą sprawą wólczanie zeznawali: „kto pierwszy chycił to drzewo Jędrzejewicza — nie wiadomo. Tak nam doradzono z Trzebowniska".

— Z Trzebowniska? — ucieszył się sędzia śledczy
— A kto?

— Kto? A Bóg raczy wiedzieć...

2

Dom Tomaki nazywano w okolicy „przejazdówką". Zatrzymywali się w nim na nocleg tacy, którym bez-

(Dokończenie na str. 4-ej)

WIESŁAW RUSTECKI

Czterdziesta Mila

Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, że wysiadłem o świcie z rzeszowskiego pociągu. Potem tłukłem się trzy kilometry bryczką do miasta. Usprawiedliwiałem się: trzeba wyrobić metrykę.

Zaraz po śniadaniu wyszedłem na rynek. Pora była wczesna. Za wczesna jak na odwiedziny. Obejrzałem pompę, w której poili konie węgierscy huzarzy sławetnego Franza Josefa. Nie było już drewnianej strażackiej remizy. Tu podziwiałem kiedyś jasność kasków i marzyłem o prawdziwej siekierce. Szedłem pod arkadami domów. Dziwnie zmalały. Pobudowane w stylu małomiasteczkowego, kresowego renesansu wzbudzały bezkrytyczny podziw wśród mieszkańców. Zwiedzałem boczne uliczki.

Przypomniałem sobie, gdzie matka prowadziła sklepik. Sprzedawała podgardlaną kiszkę własnego wyrobu, a w czwartki — wódkę chłopom przyjeżdżającym na targ. Kożuchy klientów pachniały mocną samosiejką, pierwszym znanym mi zapachem wsi. Ale tego domu nie było. Na jego miejscu stanął gmach szkoły rolniczej.

Zaciekawiłem tylko gromadę dzieciaków. Wśród chłopców noszących majtki „na klapę" usiłowałem wyobrazić sobie małego syna sklepiczarki. Nie mogłem. Już nic nie łączyło mnie z miasteczkową ciszą. Nawet wspomnienia.

Tuż za rogiem stała Poczta. Pamiętam pana Naczelnika. Czytywaliśmy razm gazetkę „Miki", potem tomy Londona — moje pierwsze książki dla dorosłych. Co się z nim stało? Jako emeryt żyje pewnie na łasce jednego z trojga dzieci. Grzebie w ogródku, aby ciężar pocztowej torby zastąpić łopatą...

Wszedłem. Za okienkiem siedziała zapłakana staruszka. Zachowała tuszę i dalekie wspomnienie urody. Kiedyś — kochał się w niej syn burmistrza.

— Czy można wysłać express do Warszawy?

— Czemu nie można... zawsze można.

Ten akcent i sposób wymowy zapamiętam na długo.

— Spotkała panią przykrość, pani Hryniukowa?

Zawahała się.

— Wy tutejsi?

— A no...

— Przecie... przecież ja was poznaję! Ale Kurzawy wyrośli na panów, ho, ho...

— Co też pani mówi, Hryniukowa. Po prostu mieszkam z matką w Warszawie. A mąż chory, że go pani zastępuje?

Położyła ręce na parapecie. Prawą mięła bezradnie wyszywaną chusteczkę. Patrzyła jakoś błagalnie wypukłymi oczyma krótkowidza.

— Ech, panie, co ja przez niego wycierpiałam. Siedział tu trzydzieści lat. Wszyscy go znali, szanowali. I pensję miał, i robotę nieciężką. Eh, ludzie, ludzie.

Nie rozumiałem.

— Panie Kurzawa, niech pan coś poradzi. Gdzie mi się przenosić na stare lata... A co on zrobi beze mnie, bez oprania — no, niech pan powie.

— Przed pół rokiem mu się odmieniło. Nie poznawałam go — opowiadała, pochlipując. — Chciał wyjechać. Nie pozwoliłam. Panie, nawet swoje książki pooddawał...

— I gdzie on?

— Pojechał, panie, do Nowej Huty. Co on tam będzie robił? Za dozorcę pójdzie? Po proszonemu? Na co im dziadygi... i do listów mają młodszych. No, niech pan powie.

Kiedyś wprowadził mnie w świat Londona. Marzyliśmy o bezkresnym Barren, o ujadaniu psiego zaprzęgu pod zimnym światłem północy. Dziś w 65 roku życia odnalazł Czterdziestą Milę...

— Niech pani jedzie do niego przed zimą — nie wiem, czy rozumiała — póki śnieg szlaków nie zasypie...

Ech, ludzie, ludzie...

Wiesław Rustecki

ANTONI OLCHA

Krótki wizerunek pana Kudro, co szedł ścieżką wydeptaną przez wielu...

Liskorz, właściciel hurtowni tytoniowej w Bystrzakowie, rówieśnik piekarza Kudro, współzawodniczył z nim w dążeniu do bogactwa. Ale podczas gdy Kudro popadał w długi — Liskorz obrastał w piórka. Tytoń — towar monopolowy, tego się nie kredytuje. Handel chlebem nie przedstawia się tak prosto...

— Czekaj — mruknął Kudro mściwie, mrużąc oczy bardziej niż zwykle — niech tylko ja się czego dorobię!... Zniszczę dziada! To mu zrobię, choroba, że koncesję straci! Bo skąd taki Liskorz, bogacz, skąd przychodzi do koncesu? Inwalidom się to należy!... Inwalidom wojennym! — wygłosił silnym głosem, dudniącym niby echo w studni.

Kudro podejrzewał, że hurtownik Edmund Liskorz snuje projekty wobec wychowanka, czy też, jak szeptano, nieślubnego syna pani dziedziczki Wysowskiej, pana Romualda Balca. Był to młodzian wysoki, szczupły, o latających bladoniebieskich oczach i nieco dziwnych zwyczajach. Niektórzy utrzymywali, że panicz jest trochę stuknięty. Ponoć chłopa, schwytanego na leśnej kradzieży, kłusownika, albo też podrostka, który zbierał na pańskim wyrębie poziomki, zapytywał, czy woli, aby go przekazać policji, czy też zgadza się dobrowolnie przyjąć pewną ilość kijów, wymierzonych ręką panicza. Ten i ów przystawał na to. We dworze pełnił pan Romuald funkcję administratora.

— Świnia! — określał Kudro hurtownika Liskorza. — Komu on chce oddać swoją Rózinkę?! Choćby mi dopłacali nie wiem ile, to bym nie zrobił podobnego głupstwa! — zarzekał się.

Na razie nic nie groziło jego córce Mańci, a dziedziczka ledwie odpowiadała na jego ukłony.

Wszyscy zamożni małomieszczanie w Bystrzakowie oraz w sąsiednim uzdrowisku Radczy wynosili się jeden nad drugiego. Uważali się za swego rodzaju „szlachtę". Byli ogromnie łasi na honory. Najzamożniejsi marzyli o koligacjach z dziedzicami. Pragnęli, żeby ich wybierano do samorządu i na prezesów w rozmaitych organizacjach. Niejeden marzył o karierze poselskiej.

Witold Kudro, niedopuszczany do „lepszego" towarzystwa bystrzakowskiego, składającego się z bogatych rajców, adwokatów, sędziów, dwóch podmiejskich dziedziców, z księdzem kanonikiem i burmistrzem na czele, a nie widzący też dla siebie miejsca w środowisku prorządowych polityków, afiszował się od czasu do czasu swymi demokratycznymi i z lekka opozycyjnymi przekonaniami. W gronie co uboższych szewców, garbarzy, rymarzy i drobnych przekupniów wygłaszał często:

— Miasto żyje z chłopa, więc musi dbać o chłopa. Chłopa trzeba oświecać i dźwigać.

Na przekór pyszałkowatemu doktorowi Szusterowi, przywódcy BBWR, zaprenumerował „Piasta" i „Gazetę Grudziądzką". Pisma te dawał chłopom do czytania.

Chłopi w okolicy nie byli wówczas zorganizowani, życie polityczne nasilało się w okresie wyborów — wtedy stronnictwa rzucały na wieś większą ilość broszur, gazet, ulotek, kandydaci na posłów i płatni naganiacze uwijali się po zebraniach, piastowcy, wyzwoleńcy, socjaliści, chadecy i endecy walczyli między sobą i walczyli przeciw bebekom o głosy. Radykalnych ludowców nazywano nieraz komunistami. Może i nie bez racji, skoro w czasie liczenia głosów w gromadach okazywało się nagle, że pewną ilość kartek jacyś chłopi oddali na numery lewicy. Wójtowie, sekretarze gmin, policjanci różnymi sposobami starali się dowiedzieć, co to byli za jedni ci wiejscy lewicowcy.

Po wyborach wszystko cichło. Spokój jak makiem zasiał. Minie rok, minie drugi i trzeci — nikt nie zajrzy do wsi z tych polityków. A czasem i zajrzy. To już zależy od tego, czy poseł jest przezorny, czy lekkomyślny. Lekkomyślny narobi dopiero tęgiej wrzawy przy nowych wyborach...

Między wyborami chłopstwo, pozostawione samo sobie, a może tam i skądś zasilane polityczną myślą, politykuje po swojemu. Bogatsi burzą się, że władze nie chcą słuchać ich rad; że odsuwają od stanowisk w gminach ludzi, co nie służyli w legionach Piłsudskiego oraz tych, którym nie odpowiada wojskowy styl rządzenia. Burzą się też z powodu rozwierających się nożyc cen, z powodu zamykania dróg dla emigracji zagranicznej, niepokoją się szybkim przyrostem liczebnym małorolnych i wyrobników; klną, co to za rząd, że redukuje taką masę inteligencji — w tej liczbie wielu wyuczonych synów grubszych gospodarzy. Czują się głęboko dotknięci obelgami, jakie pod adresem chłopów rzucają wielcy panowie z trybuny sejmowej i senackiej. Przypominają przy lada okazji pokrzyki sejmowej prawicy: „chamy do gnoju i wideł". Uważają, że klika Piłsudskiego, wychwalana w Sejmie na początku niepodległości przez chłopskich posłów, wyprowadziła ich w pole, zagarniając władzę wyłącznie dla siebie.

— Jakaż to niesprawiedliwość! — unosi się stary Błażek Bażowski z Luskomi, prowadząc jedną z wielu nocnych dyskusji z komendantem bystrzakowskiego posterunku policji, panem Janem Rochaczem, który jako kawaler odwiedza dom tego bogacza i tak na niby zaleca się do jego bratanicy.

— Jak wy możecie nam zarzucać, żeśmy chcieli zgubić państwo?! Panie Rochacz, toć przecie nasi przywódcy jeszcze przed majem 1926 roku mówili: „trzeba ukrócić anarchię, te różne strajki rozhisteryzowanych telefonistek, porzucanie pracy przez robotników dla widzimisię doktrynerów". Patrz pan! Czytaj! Tu stoi wydrukowane — wodził palcem po gazecie zżółkłej już ze starości.

— Panie Bażowski — przestrzegał Rochacz — przez pana mówi prywata i partyjnictwo. Rozumiem, jesteś pan rozżalony, żeś nie został wójtem. Ale czyja to wina? Trzeba było się zapisać do BBWR. Radziłem!

Piłsudczycy powiadają: „państwo to nie prywatny folwark", i oczywiście szastają się w najlepsze jak w folwarku właśnie.

Zwykli chłopi, zwłaszcza pamiętający wojnę, wspominają, odgrażają się:

— Teraz byśmy nie byli tacy głupi jak wtedy — prawi młodszy Borkuś z Luskomi, idąc w niedzielę z kościoła w towarzystwie sąsiadów. — Jak zrobią wojnę z Sowietami, to niech się sami biją...

— A ja powiem inaczej — odzywa się Franek Miruś — brać karabin, jak dadzą, i wiedzieć kany strzylać.

— Jak my się dostali w p l e n do Rosji — podejmuje Borkuś, który podczas wojny światowej służył w armii austriackiej — to nam tam źle nie było. A jak tam zrobili rewolucyjo, tak do nas: „T o w a r i s z c z i, w o t k n i ż k i, u c z i t i e ś". I do nas, co by my u siebie porządek robili, kie sie w i e r n i o m y d o m o j. Ale co, brachu, wrócili my, i co nam się zdawało, że źle nie będzie, a tu widzisz!...

— Rewolucyjo — mruczał Miruś — ino jakby to było? Ja, na ten przykład, mam nowe portki, a tobie się spodobają, to ci muszę dać, czy jak?

Borkuś wzruszył ramionami.

— Coś ty taki przezorny, Miruś!? Boisz się o to, czego nie masz i nieprędko będziesz miał!... Tyle ci powiem, że w Rosji dwory brali, i co tam było z panów, to chłopi wyganiali, aż się kurzyło!... To ja na własne oczy widział.

Idąc drogą wzdłuż lukomskiego grzbietu, spoglądali ku wysowskim pańskim polom i lasom. O tej ziemi tacy Borkusie i Mirusie myśleli już jak o swojej własnej, kiedy po wojnie wracali do wsi. Rychło ich doprowadzono „do przytomności" — jak mawiała pani dziedziczka — kolbami karabinów policyjnych.

— My tam już mierzyć zaczynali — wspominali markotnie.

Do pańskich lasów wciąż zaglądali. To po chrust. To za grzybami, za poziomkami. Byli w nieustannej wojnie z administracją majątku.

Politykowanie w ówczesnych warunkach było rzeczą kosztowną. Z każdym wyjazdem na wieś, z każdym zebraniem związane były niemałe wydatki. Witold Kudro wspierał pieniędzmi akcje polityczne piastowców. Toteż kiedy przywódcy stronnictwa przyjechali na wiec do Bystrzakowa — Kudro udzielił im u siebie gościny. Starał się zrobić wrażenie na gościach. Niby to lekceważąc swoje zasługi dla ruchu — przedstawiał się jako ideowy i oddany sprawie jego zwolennik. Złożył poważny datek na fundusz prasowy „Piasta". Po śmierci jednego ze starych posłów ludowych w powiecie otworzyło się miejsce na liście kandydatów z ramienia stronnictwa.

Witold Kudro kandydował na posła w wyborach, które się odbyły jesienią 1930 roku, kiedy to dyktatura Piłsudskiego zaczęła na dobre niszczyć i gnębić opozycję.

Kudro jeździł wówczas po wiecach z przemówieniem, które zaczynało się zawsze tak:

— Już starożytni chrześcijanie gromadzili się w katakumbach, aby ujść przed okiem tyrana Nerona i tam wyznawać swoją wiarę. My nie stoimy jeszcze w katakumbach, bracia chłopi, ale czas jest groźny i chmury się gromadzą. Trzeba nam przewodników o granitowych charakterach. Tacy ludzie potrafią chłopu pomóc. Ja, nie wymawiając nikomu, robiłem co mogłem, aby się z każdym podzielić, jak brat z bratem. Ja mam chleb, ty go nie masz, no to masz. A choć się przy tym majątkiem ryzykuje, to trudno, i choć byście mnie posłem nie wybrali, to też trudno, ale się wspierać musimy...

Przemówienie to robiło wrażenie. We wsiach sąsiadujących z Bystrzakowem występował przeciwko projektowanemu połączeniu ich z miasteczkiem. Chłopi bronili się przed tym w obawie, że będą płacić większe podatki od wynajmu domów letnikom.

Na zgromadzeniu inwalidów wojennych z całego powiatu ubolewał nad niejakim Taranem, ubogim chłopem, obarczonym liczną rodziną, dając do zrozumienia, że jeśli on, Kudro, zostanie posłem, to wówczas zrobi porządek z koncesjami. Wyraźnie czynił aluzje do Liskorza, któremu wielu zazdrościło. Zebranie przeszło w bojowym nastroju.

Ogromne usługi w akcji przedwyborczej oddawał Kudrze Wacek Domara ze Snugawy. Chodził od wsi do wsi, agitował, wciskał chłopom odpowiednie numerki do głosowania. Przy tym niewiele kosztował. Agitował ideowo, jeśli nie liczyć chleba i bułek, jakimi go piekarz hojnie obdarzał...

W Luskomi, gdzie odczuwano wielki głód ziemi, Kudro kładł nacisk na zagadnienie reformy rolnej. Wszędzie poruszał sprawę podniesienia letnisk, które przynosiły dochody tysiącom chłopów w okolicy Bystrzakowa i Radczy.

— Nasze górskie powietrze, to nasza kopalnia złota! — wołał. — Tak. A jeśli tak nie jest, to winne są temu intrygi i nieuczciwa konkurencja takich ludzi, jakich widzimy w Radczy!...

Radcza — nowoczesne, luksusowe uzdrowisko, legendarne zyski właścicieli tamtejszych pensjonatów i głównego właściciela uzdrowiska, hr. Wołuckiego — oto przedmiot zazdrości Bystrzakowa i okolicy.

W Radczy piorunował przeciwko kapitalistom - przedsiębiorcom, którzy wyzuwają górali z ziemi, spekulują, kupcząc ich parcelami, i korzystając z niezwykle taniej chłopskiej siły roboczej, budują luksusowe hotele, pensjonaty, wille, lokale rozrywkowe... Górali obracają w dorożkarzy, pucybutów i posługaczy, dając im za to ochłapy. Sami rozpierają się, sprzedając drogo radczańskie solanki, górskie powietrze, górskie słońce i piękno krajobrazu...

Tam zdobył dla swej listy nie tylko głosy chłopskie, ale także część głosów robotników i półrobotników.

Walka wyborcza była ciężka. Chłopów terroryzowali policjanci i urzędnicy. Za głosowanie na listę sanacyjną obiecywano umorzyć zaległości podatkowe i różne kary. Na opornych sypały się mandaty karne, wymierzane pod byle jakim pozorem. Chłopi, którzy wcale nie posiadali psów, byli karani za to, że ich psy biegają po wsi bez kagańców. Borkuś z Luskomi, mieszkający dotychczas w kurnej chacie, musiał zapłacić 5 zł. „za niewyczyszczenie komina"...

W wielu lokalach wyborczych tuż przed obliczaniem głosów niespodziewanie gasło światło i wtedy ludzie z BBWR zamieniali urny z głosami lub dosypywali kartki z numerem swego stronnictwa.

Witold Kudro, który na liście okręgowej był postawiony na trzecim miejscu, został jednakże posłem. Dowiedziawszy się o tym, zawołał szalejąc z radości:

— Jesteśmy uratowani!...

Z pierwszej diety poselskiej kupił Mańci modną suknię balową z czarnej lamy oraz kapelusz.

Pantofelki z krokodylej skóry, takąż torebkę i stosowne rękawiczki pierwszej jakości sprawił jej w prezencie „na pamiątkę wielkiego dnia zwycięstwa tatusia" — pan Edmund Liskorz, ponieważ w następstwie wzajemnego uzgodnienia poglądów pan poseł i pan hurtownik uznali, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby odtąd szli ręka w rękę. Wprawdzie wielodzietny inwalida wojenny Taran nie otrzymał spodziewanej koncesji, ale za to Kudro na każde święta, na każde imieniny i tym podobne uroczystości, z całą satysfakcją własnoręcznie rozpakowywał paczki z luksusowymi cygarami i papierosami, przysyłanymi mu w prezencie przez przyjaciela - hurtownika.

W kilka miesięcy po wyborach, granitowy mąż z Bystrzakowa ogłosił w gazetach, że postanowił zerwać z partyjnictwem. Wniknąwszy — jak pisał — z patriotyczną sumiennością w samą istotę genialnej polityki marszałka Piłsudskiego i jego obozu, powziął niezłomną decyzję wstąpienia w szeregi BBWR.

Powiatowy Urząd Skarbowy skreślił posłowi Kudrze większość zaległości podatkowych, które przekraczały siedem tysięcy złotych.

Piekarnia Witolda Kudry otworzyła swoją filię i sklep w Radczy i uzyskała od kilku dużych pensjonatów stałe zamówienia na pieczywo.

Pan Witold Kudro, jako człowiek ustosunkowany, mogący się przydać w interesach, otrzymał cichy udział w radczańskim „Biurze Kupna — Sprzedaży — Zamiany Domów i Parcel „Watra".

W drugim roku swej kadencji, po śmierci burmistrza Bystrzakowa, został mianowany „komisarycznym burmistrzem", ponieważ starostwo miało dokładnie sprawdzone wiadomości, że żaden ze zwolenników BBWR nie ma szans zajęcia tego stanowiska z wyboru.

— Ja, proszę ja was — tłumaczył się po trosze przed starostą Bryslem — szeroko zapuściłem korzenie na wsi. Chłopstwo ma do mnie zaufanie. A za miasteczko, darujcie, nie mogę odpowiadać. Ja, proszę ja was, mogę jednak całe mieszczaństwo bystrzakowskie trzymać za łeb. To ja mogę i umiem.

Wkrótce zasłynął jako człowiek o twardej ręce, tępiący opozycję z całą bezwzględnością. Dzięki jego staraniom władze wyższe zlikwidowały samorządy gminne trzech sąsiednich wsi i wcieliły je do gminy miasta Bystrzaków.

Przemawiając w dniu imienin Piłsudskiego z balkonu magistratu, powiedział:

— Chłop nie powinien się bawić w politykę. Chłop powinien pracować i słuchać władzy. Hodujcie owce, poprawiajcie rasę baranów i krów. Budujcie betonowe gnojownie. Uczcie się gospodarzyć, bo jak nasz rząd dostanie kolonie, to otrzymacie tam ziemię i będziecie budować mocarstwową Polskę.

Wymawiając te słowa, pilnie patrzył po słuchaczach, szczególnie zaś śledził, jakie też wrażenie czynią na dziedziczce Wysowskiej. Od czasu jak poseł Kudro zrozumiał swoje powołanie, dziedziczka z Wysowa zawsze brała udział w zebraniach, na których on przemawiał. Jeśli to było manifestacyjne zgromadzenie przed magistratem — wówczas słuchała go, siedząc w lakierowanym na ciemny granat powozie na ogumionych kołach. Bardzo często wraz z dziedziczką sterczał sztywny, blady młodzieniec w butach z cholewami, jasnych bryczesach i sportowej marynarce. Słuchając przekrzywiał głowę na bok, jak zmęczona kura.

— Mańcia, ubierz się wizytowo — polecił Kudro córce pewnego dnia. — Odwiedzimy dziedziczkę w Wysowie. — Po chwili dodał tonem ważnym i z zagadkowym uśmiechem: — Poznacie się bliżej w tym... jak mu tam, proszę ja ciebie, wychowankiem pani dziedziczki, panem Romualdem...

Antoni Olcha

Jak w „Gremiaczym Łogu"...

(Dokończenie ze str. 3-ej)

piecznej było nie nocować w rzeszowskim hoteliku. Pukali wtedy w okno przejazdówki, lekko, trzykrotnie, raz po razie; potem zostawiali Tomace broszury i nad ranem znikali tak samo cicho i niepostrzeżenie, jak się zjawiali. Od wielu lat nikt tak już nie stukał w okno Tomaki.

Dopiero 14-go lutego 1942 roku, jeszcze przed północą, Tomakę obudziły jakieś szmery przy oknie. Mróz był na dworze wielki: w rynience pod parapetem okiennym w izbie zamarzła woda. Szmery nie ustawały, więc Tomaka nadstawił uszu: myszy nie myszy? Coś równo klapało w szybę: pak... pak... pak.. Trzy razy. Tomaka wyskoczył spod pierzyny i przytrzymując jedną ręką kalesony, poczłapał do okna.

— Nie poznajecie? — spytał nieznajomy,

Tomaka poruszył przecząco głową.

— Żeby prawdę powiedzieć, to nie.

Gość wszedł, zdjął czapkę i zsypał z niej śnieg na podłogę; potem opuścił kołnierz i zaśmiał się:

— No... Micoł... Gustka Micoła z Wieńczycy nie pamiętacie?

Naftówka zachybotała w dłoni Tomaki; płomyk za szkiełkiem zgarbił się, skurczył i na twarz Micoła ponownie padł cień.

— Gustek? — powiedział, przeciągając to imię, Tomaka. — A wy tu skąd? Jak? Mówili, żeście w Sowietach.

Micoł zaśmiał się:

— Bądźcie gościnni, poproście do środka, to opowiem. Rzeczywiście wracam ze Związku Radzieckiego.

Tomakowa narzuciła spódnicę i kożuszek; rozpalała pod niebieską kuchenką. Walenty rozglądał się za tytoniem i myślał. Micoł był KPP-owcem w Wieńczycy, nieraz miał z nim kontakty. Ale w trzydziestym którymś uciekł przed więzieniem, był podobno w Hiszpanii, potem uczył się w Moskwie. Skąd wziął się nagle? Tymczasem Micoł zdjął buty, i grube wełniane skarpety wystawił do drzwiczek kuchenki. Potem spytał:

— Betonownia jeszcze u was jest? Jak dawniej?

— Jest.

— Więc w razie czego, przyjechałem kupić dachówki.

Walenty skinął głową i pomyślał: „jak dawniej, w konspiracji". Przysiadł na brzegu łóżka i spytał ciekawie, przechodząc z tego wszystkiego na „ty":

— Dawnoś stamtąd wyjechał?

— Wczoraj.

— Wczoraj?! Jakby aeroplanem, tobym uwierzył.

— A jakbyś wiedział. Wczoraj w nocy zrzucili mnie pod Sandomierzem.

✻

Micoł odszedł z Trzebowniska, ale widać było, że tu był i że zostawił po sobie kawał roboty: powstała komórka dzielnicowa PPR, a w lasach chłopcy powiększali szeregi „Gwardii Ludowej".

Sam Walenty rzadko zjawiał się we wsi: trzeba było utrzymywać kontakt z innymi dzielnicami partii. W lipcu 1944 r. powrócił. Od wschodu wiał ciepły wiatr; kołysał kłosami pszenicy i niósł z sobą groźny pomruk dział. Co dzień groźniej dudniła ziemia. Drugiego sierpnia zadrżały szyby w wiejskich chałupach; u Płonki pozlatywały na strych czerwone dachówki. Bereś przybiegł do Tomaki zdyszany i zawołał:

— Musimy ich powitać.

— No. Zdałaby się czerwona chorągiew. Ale skąd wziąć?

Wtedy Bereś wybiegł i po kwadransie powrócił wypchany czymś miękkim na brzuchu. „Sztandar" — rzekł z dumą i wyciągnął spod bluzy czerwone płótno.

— Skądeś to wziął? — spytał podejrzliwie Tomaka.

Ale Bereś machnął ręką; miał teraz nowe zmartwienie: jak wymalować sierp i młot. Sierp ma być z lewej strony czy z prawej?

Wieczorem tego dnia wjechał do Trzebowniska pierwszy radziecki tank. Na „przejazdówce" witała go, łomocąc, czerwona chorągiew. Ludzie z płaczem i śmiechem rzucili się w stronę żołnierzy.

...Tylko z beresiowej chałupy wiatr wymiatał przez okna białe pierze. Kłębiło się i wirowało w powietrzu jak śnieg w czasie zamieci. Beresiowa jęknęła: „a to chłopisko! całą pierzynę zmarnował". I pobiegła witać czołgistów koło chałupy Walentego Tomaki.

3

W swojej, ludowej Polsce został Walenty Tomaka pierwszym przewodniczącym Powiatowej Rady Narodowej w Rzeszowie. We wsi bywał rzadko, ale za każdym razem, kiedy się zjawiał, zawsze coś płodził; myślał ciągle co by tu zmienić, ulepszyć.

Uparł się: sami wprowadzimy do wsi elektryczność. Urządzili zabawę, zarobili dziesięć tysięcy i przyszli z tym do dyrektora elektrowni. Dyrektor nazywał się Wisłocki i uśmiechał się dobrotliwie:

— Światło za dziesięć tysięcy? Moi złoci, same plany kosztują pięćdziesiąt. Żaden z moich inżynierów nie zgodzi się wam tych planów zrobić.

Tomaka chrząknął: niedobrze. Ale Wisłocki nieoczekiwanie oświadczył:

— Ja wam zrobię te plany. A pieniądze schowajcie, przydadzą się.

Trzebownisko pochowało naftówki do komórek.

✻

Po trzech latach Walenty znów wrócił do domu. Chałupa wydała mu się przestronniejsza niż dawniej: nie było żony, a córka wyszła za mąż. Dwie izby stały pustkami i starzy towarzysze po dawnemu schodzili się wieczorami do Walka.

Nad łóżkiem, na kwadratowym dywaniku, wisiał u Tomaki krzyż zasługi. W tym pokoiku powstał w końcu projekt zorganizowania spółdzielni. Spółdzielnia otrzymała nazwę „Wyzwolenie", a Tomaka tytuł przewodniczącego. 12 sierpnia 1950 roku trzynastu gospodarzy podpisało deklaracje. To było niedużo, ale Tomaka nie narzekał: „trza poczekać i przekonać. Ze światłem też było podobnie". Na wiosnę przyjechał do nich pierwszy traktor z Młocina. W lecie zboże było wysokie, wybujałe; wtedy szeptano we wsi: „zwali im się". I oczywiście — nic się nie zwaliło. „Osypie im się" — prorokowano. I oczywiście — nic się nie osypało.

Wybudowali dużą, piękną oborę. Oborowym został Maciek Ćwiek. Był stary, głuchy i trochę niedowidział.

— Krówki? Bożeż ty mój... Potrafię. Potrafię, lepiej niż weterynarz. Ale nie zawsze potrafił.

Pokpiwano sobie z tego powodu z dziadka Ćwieka. A Tomaka mówił zadowolony do Wisza:

— Jak w Gremiaczym Łogu, pamiętasz? Jak u nich. Nawet swojego dziadka Szczupaka mamy.

Jerzy Janicki

CARLOS LUIS FALLAS

WYBORY W TALAMANCE



Głód.

rys. Leopoldo Mendez

CARLOS LUIS FALLAS,

z zawodu szewc, a gdy trzeba było i robotnik rolny z Kostaryki, uczył się sztuki pisarstwa przy redagowaniu ulotek i odezw „Bloku Robotników i Chłopów Kostaryki" — partii komunistycznej noszącej dziś nazwę „Awangarda Ludowa".

*Dziś jest C. L. Fallas znanym w Ameryce Łacińskiej pisarzem; wkrótce kilka jego książek ukaże się w polskim przekładzie. Najsławniejsza z nich to „Mamita Yunai" — powieść, której pierwsza część demaskuje oszustwa i machinacje wyborcze, jakich dopuszcza się rząd na usługach Stanów Zjednoczonych i właścicieli potężnego trustu owocowego „United Fruit Company" (stąd tytuł powieści znaczy „Mateczka United" *). Terenem akcji pierwszej części książki jest indiański okręg prowincji Talamanka w okresie wyborów 1940 r.*

Bohater powieści, pełnomocnik Partii, po wielu trudach, uniknąwszy tysięcznych niebezpieczeństw i niejednej zasadzki, przybywa wreszcie do starannie ukrytego przez policję punktu wyborczego w miasteczku Amure. Przed czytelnikiem roztacza się grubymi nićmi szyta oszukańcza gra wyborcza, w której wykorzystuje się utrzymywanych w ciemnocie Indian.

z. s.

**) Ukaże się nakładem Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik".*

Poranek był mglisty i bezsłoneczny, drobny deszcz omywał łagodnie liście pomarańczy. W sieni zaczynali się tłoczyć Indianie, a bardziej wrażliwi na zimno wchodzili do kuchni, gdzie za plecami mężczyzn kryły się pokorne, zaniedbane kobiety. Niektórzy mieli na sobie brudne łachmany, większość jednak przyszła w świeżo wypranej, niewyprasowanej odzieży z luźno zwisającymi koszulami; szczeciniaste włosy sztywno sterczały. Jedni przyglądali mi się leniwie wolimi oczyma bez wyrazu, inni z ponurą miną zerkali na mnie spode łba.

Było jednak wśród nich pięciu czy sześciu ludzi lepiej ubranych i dobrze obutych. Ci mieli twarze inteligentniejsze, rysy bardziej wyraziste, spoglądali na mnie napastliwie i drwiąco, szepcząc między sobą w miejscowym narzeczu. Nie byli to Indianie czystej krwi. Włosy kędzierzawe i jedwabiste, a kolor skóry albo znacznie ciemniejszy, albo prawie biały wskazywały na domieszkę krwi murzyńskiej lub „hiszpańskiej". Spośród tubylców ludzie ci odznaczali się pewnie największą inteligencją i nimi prawdopodobnie posługiwał się Levi w swych szacherkach. W tej chwili musieli drwić sobie ze mnie wobec reszty Indian, gdyż od czasu do czasu rozmawiający z nimi odwracali ku mnie twarze rozbawione lub chytrze uśmiechnięte.

Wniesiono stół, ławę i kilka stołków. Między ludźmi wnoszącymi stół poznałem Metysa, który przedwczoraj nad rzeką tak mnie straszył, gdy don Ramon odbijał od brzegu. Wycedził między zębami jakieś pozdrowienie.

Przyniesiono skrzynkę, paczki druków wyborczych i wszystkie potrzebne materiały. Indianie rzucali się na papierki, nie respektowali nawet paczek z kartkami wyborczymi i znaczków. Don Ramon podszedł do mnie:

— Tutaj dopiero zobaczysz tłumy! Zbierze się ich na pewno ze sześciuset. Mam ochotę ich wszystkich zgromadzić i zrobić zdjęcie — mówiąc to pokazał mi swój aparat fotograficzny.

Stary przygotowywał mnie powoli do tego, co ma nastąpić. Już w Limonie napomykano mi, że Levi trenuje sobie około trzystu Indian, zaufanych i bardziej rozgarniętych, aby pilnowali nalepiania znaczków wyborczych. Nawet w wypadku, gdyby zjawiło się Indian bardzo wielu, pożytek z tego niewielki, gdyż ci ludzie mogli nalepić znaczek gdziekolwiek albo nie nalepić go wcale i w ten sposób zmarnować głos. Najprawdopodobniej kierownictwo tej akcji będzie się starało wypchnąć do kilkakrotnego głosowania swoich wytresowanych Indian, aby osiągnąć taki rezultat wyborów, jakiego sobie życzył rząd.

— Jak się masz! To ty mieszkałeś u Escorcii, gdy byłem u niego przed sześciu laty, pamiętasz? — zaczepiłem młodego Murzyna w wieku około siedemnastu lat, który siedział na poręczy ganku. Chłopiec przyjrzał mi się uważnie.

— Tak, to ja, ale pana sobie nie przypominam.

— A co porabia twój kolega, ten, który kiedyś wieczorem nasypał żonie Escorcii sieczki z kukurydzy do łóżka?

— Aha, tak, prawda! — zawołał Murzynek i roześmiał się przypomniawszy sobie, jak wściekała się stara, kiedy wykryła ten figiel.

— Bo mnie, don Ramonie, żadna twarz w pamięci nie ginie, wystarczy jeśli kogoś widzę bodaj raz jeden, aby go poznać nawet po wielu latach...

Stary uśmiechnął się, zrozumiał chyba ukrytą intencję tych słów. Chciałem przez to powiedzieć: „żebyś wiedział, stary oszuście, że to niełatwa rzecz nabierać mnie i podstawiać tych samych ludzi, choćby poprzebieranych na różne sposoby".

Usadowiliśmy się przy stole. Niemal cały czas przewodniczył Jorge. Młody chłopak, syn policjanta z Sixaoli, pełnił funkcję sekretarza, a rozmowny Metys, którego wczoraj poznałem nad rzeką, siedział teraz obok mnie w wytwornej, jedwabnej koszuli, z wyhaftowaną na niej łodzią żaglową; włożył na nos okulary i z komiczną powagą zabrał się do przeglądania papierów. Okazało się, że jest członkiem komisji wyborczej i nazywa się Santiago. Don Samuel miał odgrywać rolę pisarza i wszystko było tak ułożone, aby w rezultacie cała sprawa została załatwiona „w rodzinie", wśród której ja jeden byłem intruzem.

Indianie napierali na nas ze wszystkich stron, podtykali nam pod nos gniecione bezmyślnie w palcach, zmięte kartki wyborcze.

W przejściu do drugiego pokoju trzeba było zawiesić brudny łach, zastępujący kotarę. Za nią odbywało się głosowanie. Zająłem się teraz Indianami. Przede wszystkim próbowałem odsunąć ich od stołu. Biernie ale uparcie sprzeciwiali się moim instrukcjom i udawali, że nie rozumieją po hiszpańsku. Mała grupka tych ruchliwszych kierowała manewrem w miejscowym dialekcie.

— Nasigua! Nasigua! — wołali wskazując na mnie palcem.

— Nasigua! Chiquirina! *) — natrząsali się wszyscy powtarzając te dwa słowa.

Cóż to, u diabła, znaczy? Podejrzewałem, że faworyci Leviego podjudzają przeciwko mnie Indian, i przywołałem don Ramona. Wstał z fotela stojącego na korytarzu i zaczął udawać, że mi pomaga.

— Przecież to bydlęta! — zawołał. — Ci idioci nie rozumieją, co się do nich mówi... Spróbuj ty im wytłumaczyć, żeby się odsunęli, bo nie wolno tłoczyć się koło stołu! — zwrócił się do jednego z zauszników z pięknym mieczykiem, zwanym realerą, u pasa.

Pewny byłem, że jednocześnie z tym rozkazem don Ramon dawał swemu służalcowi jakiś znak porozumiewawczy, aby czynił coś wręcz przeciwnego.

— Co to za jeden, ten z realerą? — spytałem don Ramona.

— To komisarz policji z Yorkinu — odpowiedział.

Ów komisarz w jedwabnej niebieskiej koszuli i spodniach tej samej barwy miał zniszczone i koślawe buty, a na głowie skautowski kapelusz. Energicznie rozpychał się wśród zebranych i rzucał im instrukcje w miejscowym narzeczu.

— Jesteśmy gotowi — oświadczył Jorge.

Wystąpił jakiś Indianin, otworzył pięść i pokazał kartkę wyborczą zmiętą w kulkę. Jorge odebrał papier, rozprostował go starannie i odczytał nazwisko. Don Samuel natychmiast odnalazł je na liście wyborców.

— O, tu jest — rzekł stawiając na jakimś miejscu krzyżyk. Potem wraz z sekretarzem zajął się wpisaniem nazwiska na oficjalną listę, gdy tymczasem Jorge wręczał Indianinowi kartkę i znaczek.

— Chwileczkę! — przerwałem. — Powiedz mi no, jak się nazywasz? — spytałem Indianina.

Zagadnięty stał z otwartymi ustami, a komisarz i pomocnicy szybko mówili coś do niego w miejscowym dialekcie.

— Ależ człowieku — odezwał się Jorge — przecież ci Indianie nie mówią i nie rozumieją po hiszpańsku, oni już zresztą podawali swoje nazwiska, kiedy odbierali dowody osobiste.

Nawet Metys w okularach poważnie temu przytaknął.

Stwierdziłem raz jeszcze, że moje przypuszczenia są słuszne i ze śmiechem powiedziałem:

— A, więc to tak! To tak wszystko się odbywa! Wobec tego chyba wystarczy pozbierać kartki i... do widzenia!

Wbrew moim wysiłkom i staraniom Indianie tłoczyli się przy stole. Każdego, kto odbierał kartkę, obsługiwali natychmiast komisarz i jego dwaj pomocnicy. Tuż pod moim nosem dawali mu instrukcje, wskazując palcem kwadracik umieszczony naprzeciwko nazwy partii rządowej. W tym miejscu wyborca miał przylepić znaczek.

— Co się tu dzieje, co się tu dzieje! — wołałem wówczas na wpół żartem, na wpół gniewnie — nie męczcie głosujących, zostawcie ich w spokoju!

— Nasigua! Nasigua! Chiquirina! — mamrotali Indianie kpiąco i robili swoje.

Członkowie komisji wyborczej uśmiechali się pod wąsem, a rozparty w fotelu don Ramon starał się ukryć zadowolenie, prowadząc energiczną walkę z muchą, która swoim zwyczajem uparła się, aby kontynuować nieprzerwany marsz wzdłuż fioletowych żyłek jego buraczkowego nosa.

Kilku wyborców zniknęło na długo w pokoju za kotarą. Czyżby tam zasnęli? Korzystając z pierwszej okazji, uniosłem kurtynę i zajrzałem do wnętrza: obecni siedzieli nieruchomo, z minami lunatyków, wpatrzeni w swoje kartki.

— Hej, staruszku, rusz no się! Kiedy wreszcie będziecie głosować?

Jorge wciąż jeszcze rozdzielał kartki i zdarzało się, że po sześciu Indian już z kartkami wyborczymi i znaczkami w ręku czekało swojej kolejki, aby wejść do pokoju. Przed wejściem osaczali Indian szpicle i nieznacznie szeptali im na ucho instrukcje. Starałem się temu przeszkodzić i zażądałem, aby Jorge przestał rozdzielać kartki.

Raz po raz któryś z zauszników wślizgiwał się jednak do pokoju.



Głowa Indianki.

rys. Luis Arenal

by „pomóc" wyborcom w nalepianiu znaczków. Wpadałem za nimi i wyciągałem ich stamtąd.

— Co wy, u diabła, tutaj robicie? Wynoś mi się stąd, gałganie!

Indianie, członkowie komisji wyborczej i delegat prezydenta Republiki wybuchami śmiechu nagradzali wesołe anegdoty kompanów Leviego.

Wśród Indian oblegających stół zobaczyłem Juana Motawę, który krył twarz, abym go nie poznał.

— Patrz — powiedziałem do Jorge — oto Juan Motawa, ciekaw jestem, pod jakim nazwiskiem ten bandyta będzie głosował.

— To u nas się nie zdarza — odrzekł z wielką powagą Jorge — tylko Indianie są tacy głupi, że gdy się ich zapytać o nazwisko, czasem mówią własne, a bardzo często jakieś zupełnie obce.

I Juan Motawa złożył kartkę wyborczą podpisaną: Perico de los Palotes...

Gdy zapaliłem papierosa, w spojrzeniach Indian nie było już nienawiści i szyderstwa. Jak zahipnotyzowani patrzyli na unoszący się dym, wreszcie najodważniejszy z nich zapominając o obelżywych przezwiskach, jakimi mnie przed chwilą obdarzał, a nawet o tym, że nie umie mówić po hiszpańsku, zbliżył się do mnie i poprosił:

— Dać papierosa, przyjacielu, ja musi palić.

Mówiąc to wsunął mi rękę w kieszeń marynarki. Dałem mu papierosa. Paląc wydymał policzki, jak gdyby trąbił, wsysał dym i gwałtownie go wydmuchiwał. Inni poszli za jego przykładem i osaczyli mnie, powtarzając w kółko:

— Dać i mnie papierosa, przyjacielu, ja musi palić!

Dawałem im papierosy nie po to, aby ich sobie zjednać; prawdę mówiąc nie czułem do nich antypatii, jaką oni tak wyraźnie mi okazywali, gdyż wiedziałem, że ci biedacy nie mogli mieć najmniejszego pojęcia o tym, co się tutaj odbywa.

— Jeżeli będziesz dawał każdemu, to sam nie będziesz miał co palić — ostrzegał mnie don Samuel maczając pióro w atramencie.

Od czasu do czasu na placyku przed kościołem ukazywali się zbici w gromadkę Indianie, którzy kłaniali się don Ramonowi, po czym maszerowali w kierunku kuchni. Stary pokazywał mi ich palcem.

— Patrzaj, widzisz, ilu Indian przychodzi na zebranie?

— I pewnie każdy z nich ma już swoją kartę w kieszeni, co? — odpowiadałem, bo zorientowałem się, że Levi, który schował się za starym domem, rozdaje im te kartki. To on organizował grupy Indian i wyznaczał im trasę: ci, którzy odchodzili wspinając się w góry, ukazywali się znów przed kościołem, jak gdyby przybywali z daleka. Leviemu chodziło o to, abym stwierdził, że frekwencja wyborców jest rzeczywiście bardzo duża.

Deszcz stawał się coraz silniejszy, grożąc zniszczeniem wyborczych dokumentów. Nieodporni na chłód Indianie kucali i rozcierali ręce, a niedaleko, pod pniem drzewa aguacate, stała „wyborcza" krowa i, otulona w mgłę pary unoszącej się wokół jej chudego ciała, przeżuwała ze stoickim spokojem. Byk został już zjedzony przez Indian poprzedniego wieczora.

Nadszedł wreszcie „szwagier" rzucając spode łba trwożne spojrzenie. Wszyscy kompani Leviego z komisarzem włącznie już głosowali. Wyliczyłem, że bardziej rozgarnięci Indianie spełnili obowiązek wyborczy, oczywiście wraz z grupą wytresowaną przez Leviego. Od tej chwili będą musieli albo powtórnie sprowadzać do urny tych samych wyborców, albo narażą się na niebezpieczeństwo utraty dziewięćdziesięciu procent głosów. Wysoki i kościsty Nikaragueńczyk, świetnie znający miejscowy dialekt, włożył na głowę jakiś dziwny melonik i usiadł w samym przejściu, aby „pilnować porządku". No i wtedy dopiero gra poszła na całego.

Wyborca wchodził do pokoju, a po pięciu minutach wysuwał zza kotary głowę, jak gdyby prosił o wyjaśnienie, co — u diabła — ma on robić z tymi kawałkami papieru. Nikaragueńczyk lub komisarz rzucali się ku niemu z objaśnieniami. Indianin chował znów głowę, a w pokoju rozlegały się uderzenia pięścią w stół, wynik bezskutecznego wysiłku przyklejenia znaczka. Za mało biedak miał śliny... Po chwili ukazywał się z odlepionym znaczkiem i z wyrazem rozpaczy na twarzy. Nim zausznicy policji wzięli nieszczęśnika w swoje obroty, chwytałem go pod ramię i przyciągałem do stołu.

— Proszę bardzo, Jorge, objaśnijcie temu panu, jak należy głosować.

Jorgemu nie pozostawało nic innego, jak tylko wziąć do ręki kartkę i znaczek.

— Trzeba naślinić tutaj, o! — mówił do Indianina, pokazując, jak należy przeciągnąć językiem po znaczku. — Potem trzeba przylepić tu... albo tu... gdzie kto chce, prawda? — tu wskazywał na klatki odpowiadające różnym partiom.

— Aha — mruczał Indianin zupełnie zdezorientowany.

Oto nowy kłopot dla biednego dzikusa z Talamanki! Najpierw wszyscy mu mówili, że ma przylepić znaczek w tej tu klatce, a teraz znowu okazuje się, że wolno ją nalepić, gdzie mu się żywnie podoba!

Ku wielkiemu niezadowoleniu komisji wyborczej i don Ramona, nazbyt często po takiej drugiej lekcji przewodniczącego, Indianin wychodził z biura, trzymając w ręce kartę, jak tacę, a na niej cienki płatek wciąż jeszcze nieprzylepionego znaczka.

Zjawiali się wyborcy w wieku poniżej lat szesnastu.

— Jorge, a co robi tutaj ten dzieciak?

— Z Indianami tak bywa — odpowiadał — nie wyglądają na swoje lata. Ten gałgan, na przykład, ma już dzieci...

— A tamten jest starszy ode mnie — twierdził Metys przecierając z namaszczeniem okulary.

Co pewien czas wychodziłem na chwilę z pokoju. Po powrocie zastawałem Panamczyka z głową wciśniętą między zasłony, pogrążonego w ożywionej rozmowie z głosującym Indianinem.

— Hej, przyjacielu, co wyrabiacie! — wołałem.

— Nic takiego, ja chciałem tylko zobaczyć, co mu się stało, że tak długo nie wychodzi — odpowiadał wykrzywiając swoją błazeńską twarz.

— Radzę ci więc tam nie zaglądać, smarkaczu!

Zausznik wyraźnie się niecierpliwił z mojego powodu, ja jednak wciąż udawałem głupiego i niby to żartem zrewidowałem lokal, a nawet pokój don Ramona.

— Muszę sprawdzić — odezwałem się do starego — czy tam nie ma rzeczy niepotrzebnych...

— Nic tam nie znajdziesz, José Francisco! Ja bym nie dopuścił do żadnych kombinacji, jak dawanie wódki i temu podobne!

*

Don Samuela i pozostałych członków komisji bardzo martwiła tępota wyborców. Don Ramon przywołał nieznacznie jednego z zauszników policji, szepnął mu coś do ucha, po czym szpicel zniknął w tłumie Indian.

— Aha! — powiedziałem sobie. — Poselstwo do Leviego z wiadomością, co się tutaj dzieje. Zaraz rozpocznie się strzyżenie, czesanie, przebieranie.

Stało się, jak przypuszczałem! Po chwili zaczęli się zjawiać Indianie z włosami gładko przylizanymi za pomocą tłuszczu i wody. Widać było, że maskarada robiona była w pośpiechu. Levi nie miał nawet czasu tych ludzi otrzepać; na wielu karkach i za uszami pozostało pełno uciętych włosów. Zaczęła się defilada Indian, którzy chcieli głosować po raz drugi.

— Ten z brzega, wysoki, już głosował w pierwszej grupie, a teraz wraca z przedziałkiem pośrodku!

— Ale skąd! Idianie w ogóle są bardzo podobni jeden do drugiego.

— A ten stary bez oka? Z nim Levi nie zadał sobie żadnego trudu; ma jeszcze tę samą brudną koszulę, te same długie kłaki, no i to samo jedno oko... Tej strasznej gęby też mu nie zmienili!

Typ bez oka spojrzał na mnie ze złością.

— Mylisz się przyjacielu, Sibaja... To jego brat, bliźniak — bronił się don Samuel.

— A to dopiero! — wykrzyknąłem nie hamując śmiechu. — Więc obaj ci biedacy urodzili się z jednym okiem!?

— Tak, tak! — potwierdził z daleka don Ramon. — Tak właśnie jest, chociaż to wydaje ci się nieprawdopodobne!

Nie dawałem za wygraną.

— Don Samuelu, widzi pan tego skurczonego człowieczka? Gdy głosował po raz pierwszy, dałem mu papierosa, po drugim głosowaniu wziął ode mnie drugiego, a jak widzę, ma zamiar przyjść do mnie po trzeciego... Jak tak dalej pójdzie, ten oszust wypali mi wszystkie papierosy!

Don Samuel nawet nie mrugnął. Ciągnąłem dalej:

— Proszę panów, zbliża się ku nam znowu Juan Motawa. Czy to sam Juan Motawa, czy też jego bliźniak?... A „szwagier"? Patrzcie, jak ten bandyta zwija w ręce kartkę wyborczą i kuca w tłumie!... Nie, panowie, tego za wiele! — zaczynałem tracić cierpliwość — to już szczyt bezczelności! Oto sam pan „komisarz" idzie powtórnie do wyborów i nawet nie uważa za stosowne odłożyć znanej wszystkim realery!

Członkowie komisji wyborczej już nie próbowali się bronić, uśmiechali się tylko. Jedynie Metys w okularach udawał, że stara się odczytać napis na jakiejś kartce.

Ostatecznie całe to głosowanie było tylko cynicznym oszustwem.

Przełożyła **Zofia Szleyen**

**) Wróg! Chory pies!*

THOMAS MC GRATH

PIOSENKA O MIŁOSIERDZIU

Przyszedł szef przed gwiazdką do mnie,
uśmiechnięty jak owieczka —
dał w prezencie rękawiczki,
a potem obciął mi dłonie —
tak, potem obciął mi dłonie.

Przyszedł szef w dniu mych urodzin
dać mi buty marki dobrej.
Jak ksiądz śmiał się, stopy obciął,
potem rzekł: idź, potańcz sobie —
tak mi rzekł: idź, potańcz sobie.

Przyszedł szef przed Pierwszym Maja.
— Możesz iść w pochodzie — rzekł mi.
Na ulicach w nas strzelali
i do więzień nas zamknęli —
tak, do więzień nas zamknęli.

Mówi w święto kaznodzieja:
— Nadstawiaj drugi policzek!
Nie nadstawiaj go szefowi,
bo ci może zęby wybić —
tak, może ci zęby wybić.

Posłuchajcie, robotnicy!
Gdy szef zdaje się być dobry,
pamiętajcie: ślad na nożu
to jest ślad krwi tylko waszej —
tak, to ślad krwi tylko waszej!

Jeśli kochasz żonę, dzieci,
jeśli kochasz swoich synów
i swą klasę robotniczą,
to swą miłość w domu trzymaj
i nie marnuj jej dla szefa,
ale trzymaj miłość w domu.

LANGSTON HUGHES

ROBOTNICY Z FLORYDY

Buduję drogę,
by jeździły nią samochody.
Buduję drogę
poprzez gęstwę palmowców
dla światła i cywilizacji,
by szły tędy.
Buduję drogę
dla starych, bogatych białych,
by mknęli w samochodach,
zostawiając mnie tutaj.

To jasne —
droga pomaga każdemu!
Bogacze jadą,
a ja ich widzę, jak jadą.
Nigdy przedtem nie widziałem,
by jeździł ktoś tak pięknie.

Hej, chłopcze!
Popatrz na mnie,
buduję drogę!

przełożył **Lech Pijanowski**

Książki

Ciekawość nie zaspokojona



Maria Jarochowska

Maria Jarochowska: „Niebieskie okulary" — Reportaż z huty „Częstochowa", 1952, „Czytelnik". Redaktor: **M. Kulmińska.** Str. 87 + 5 nlb.

„Czterdzieści dwa kilogramy wynosiło zużycie stali na jednego mieszkańca w Polsce sanacji i nędzy.

Trzysta dwadzieścia kilogramów stali będzie przypadać na każdego mieszkańca w ostatnim roku Planu Sześcioletniego, w roku 1955.

Sto dziesięć tysięcy ton stali wyrabiała przez dwanaście miesięcy stara huta Bernarda Handtke.

Kombinat Częstochowa wyprodukuje tej stali rocznie milion sto tysięcy ton."

Reportaż Marii Jarochowskiej opowiada o tym właśnie, jak stara huta Bernarda Handtke w zacofanej, klerykalnej i nędzarskiej Częstochowie stała się nowoczesnym kombinatem im. Bolesława Bieruta — w Częstochowie, mieście przemysłu socjalistycznego. Proces ten należał chyba w niemniejszym stopniu do zjawisk techniczno-gospodarczych, jak i społeczno-kulturalnych. Rośli tu nowi ludzie, zmieniały się zajęcia, zamiłowania i perspektywy życiowe młodzieży chłopskiej z pobliskich wsi, bo młodzież ta szła pracować do huty. A przecież „kiedy w owe czasy zapachniało ziemią na siew gotową, albo przepiórki zapowiedziały czas żniw, wielu z nich niefrasobliwie, bez wyrzutów sumienia, porzucało pracę. Po prostu znikali. Wiadomo gdzie. Pomagać swoim przy sianokosach, przy młocce, przy wykopkach." Huta częstochowska wychowała na świadomych przodowników, brygadzistów i racjonalizatorów byłych lumpenproletariuszy z „nożowniczej dzielnicy" Rakowa, gdzie niegdyś działali „zdemoralizowani bezrobociem młodzi, rozpijaczeni awanturnicy, księżycowi kawalerowie". Wykonywanie planu produkcyjnego w ciężkich nieraz warunkach, wykonywanie przedterminowe, wspaniała, heroiczna praca robotników i inżynierów — oto teren, gdzie dojrzewały charaktery i hartowały się dusze. Dobrze postąpiła autorka, poświęcając wiele uwagi tym właśnie sprawom ludzkim i dowodząc, że budownictwo socjalistyczne stwarza nie tylko martenowskie piece, nie tylko maszyny i mury, ale przede wszystkim kształtuje nowego, godnego wielkiej epoki człowieka.

Książka Jarochowskiej jest rejestrem poważnych bitew i małych potyczek między tym, co było stare, a tym, co rewolucyjne i nowe, jest rejestrem tych starć na budowie częstochowskiej huty. Używam jednak słowa „rejestr" a nie „obraz" i niestety używam świadomie, ponieważ Jarochowska raczej tylko zanotowała liczne fakty tej walki, aniżeli pokazała ich przebieg, ich „dzianie się". Wróćmy np. do miejsca, gdzie pisarka opowiada o zjawisku bumelanctwa w okresie siewu czy żniw. Jak brzmi ciąg dalszy? „Komitet Zakładowy Partii postawił sobie zadanie nie lada. Rozpoczął przetwarzać ten płynny, niezdyscyplinowany element na społeczeństwo odpowiedzialne i świadome. Przede wszystkim postarano się wpłynąć na podniesienie kwalifikacji zawodowych. Organizuje się kształcenie na miejscu, wysyła licznych pracowników na wielomiesięczne kursy. Przez zdobycie zawodu pracownik, przedtem niewykwalifikowany, rozszerza odtąd swoje możliwości, wiąże się z warsztatem pracy. Z bezładnej masy ludzi bez fachu bardziej uzdolnieni wysunęli się naprzód. Pociągnęli za sobą resztę. We współzawodnictwie wykuwała się solidarność pracy i poczucie odpowiedzialności w tej pracy." Czymże jest przytoczony tekst? Jest zbiorem ogólników dotyczących bardzo ważnego i ciekawego zjawiska, które Jarochowska dostrzegła, którego jednak nie zanalizowała głębiej i nie przedstawiła czytelnikom przy pomocy środków artystycznych reportażu literackiego, lecz skwitowała językiem przypominającym instrukcje Związków Zawodowych. Podobnie szereg innych niemniej istotnych zagadnień został w książce tylko zasygnalizowany a nie przedstawiony. Abstrakcyjny sposób omawiania spraw, które aż się proszą o żywe opracowanie literackie, to zasadnicza wada książki. Podczas lektury czułem się wielokrotnie zawiedziony. Autorka zaczyna coś opowiadać, jest to zgoła frapujące i nagle trzask-prask: zasłaniają mi przed nosem ekran. Zamiast dowiedzieć się, co było dalej, widzę tylko kurtynę z napisem: „wykuwała się solidarność pracy". Przepraszam bardzo, a jakie miny mieli po żniwach ci, co uciekli? A jak z nimi rozmawiał sekretarz Partii? Czy z kursów też nawiewali? Bardzo mnie to wszystko obchodzi.

Szkoda, że temat ważki i bogaty pod piórem tak zdolnej reportażystki, jaką jest Jarochowska, nie doczekał się tym razem troskliwszego i pełniejszego rysunku. W książce wyczuwa się niepotrzebny pośpiech. Płyniemy, szybko płyniemy po głębokiej, czystej wodzie i nagle osiadamy na mieliźnie. Albo dokumentacja „w terenie" została przeprowadzona powierzchownie, albo Jarochowska nie wyzyskała tej dokumentacji w książce.

Jacek Bocheński

Opowiadania Karola Grunberga



Karol Grünberg

Karol Grünberg: Zaczęło się w Edenie", opowiadania, tłumaczyły z niemieckiego **J. Marecka i M. Wołczacka,** ilustracje **Jana Kobera,** str. 215, wyd. M.O.N. Warszawa, 1951.

Karol Grünberg należy do pisarzy, którzy w ostatnim okresie istnienia Republiki Weimarskiej, w okresie zaciętych zmagań niemieckich sił postępu z wstecznictwem i uciskiem, stworzyli nową broń dla walki klasy robotniczej: niemiecką powieść proletariacką. Jej powstanie datuje się z końca trzeciego dziesięciolecia naszego wieku, kiedy to na widowni literackiej zjawili się całkowicie nieznani pisarze, którzy w śmiałych i odważnych powieściach realistycznych odzwierciedlali cierpienia i walki niemieckiego proletariatu. Z grupy tych pisarzy znaliśmy dotąd w Polsce trzech: Hansa Marchwitzę, zmarłego w 1948 roku chłopskiego pisarza Adama Scharrera i najwybitniejszego spośród nich, Willego Bredla. Twórczość Karola Grünberga udostępniono nam obecnie wydanym ostatnio tomem opowiadań. Wkrótce ukaże się także jego powieść „Zagłębie Ruhry płonie".

Historia życia Grünberga pod wieloma względami przypomina drogę rozwojową wspomnianych pisarzy, którzy wraz z nim wskazali powieści niemieckiej nowy kierunek. Urodzony w 1891 roku w Berlinie jako syn szewca, starego socjaldemokraty, Grünberg już w dzieciństwie poznaje trud życia proletariackiego, już w młodości wiąże się z ruchem robotniczym, któremu pozostał wierny przez całe życie. — Doświadczenia w armii kajzerowskiej w pierwszej wojnie światowej mają — podobnie jak w wypadku Marchwitzy lub Scharrera — decydujący wpływ na ostateczne ukształtowanie się rewolucyjnej świadomości młodego Grünberga. W 1920 roku wstępuje do utworzonej rok wcześniej Komunistycznej Partii Niemiec i należy już wówczas do jej najbardziej aktywnych członków.

Działalność literacka Grunberga, który pracuje jako robotnik w jednej z fabryk berlińskich, zaczyna się — podobnie jak u większości pisarzy proletariackich — od pracy dziennikarskiej, od korespondencji i reportaży dla pism partyjnych. Ciężkie życie proletariusza w ustroju kapitalistycznym nie sprzyja ujawnieniu talentu artystycznego: codzienna walka polityczna nie pozostawia czasu na pisanie większych utworów. Bredel pierwszą swą powieść tworzy w więzieniu, Marchwitza — gdy jest bezrobotny. W podobnych warunkach powstaje pierwsza książka Grunberga: w 1927 roku, w latach wzmagającego się kryzysu, zostaje zredukowany i przez cztery miesiące zimowe pisze w prymitywnej, z kilku desek skleconej altanie podberlińskiego ogródka działkowego powieść „Zagłębie Ruhry płonie", pierwszą powieść niemiecką, którą napisał proletariusz o proletariacie. Bojkot burżuazyjnej prasy nie mógł powstrzymać ogromnego sukcesu tej powieści, która została przełożona na liczne języki i osiągnęła szczególny sukces w Związku Radzieckim, gdzie została także sfilmowana.

W okresie Trzeciej Rzeszy Grünberg pozostaje — w odróżnieniu od przeważającej większości postępowych pisarzy — w Niemczech. Walka w szeregach antyfaszystowskiego ruchu oporu, obóz koncentracyjny w Sonnenburgu, po zwolnieniu dalsza praca nielegalna, redagowanie podziemnych pism — oto lakoniczny bilans życia Grunberga w latach mroku. Dopiero po uwolnieniu Niemiec spod brunatnego panowania Grünberg może kontynuować pracę literacką. Powstaje powieść „Das Schattenquartett", która także ukaże się w języku polskim. Jest to pierwszy tom trylogii, odzwierciedlającej cierpienia i walki czterech pokoleń niemieckiego proletariatu w okresie 1848 — 1948, powstaje sztuka teatralna „Golden fliesst der Stahl", w której autor śmiało atakuje zagadnienia związane z budową NRD, powstają wreszcie opowiadania, zebrane w tomie pod znamiennym tytułem „Zaczęło się w Edenie".

Myśl przewodnią tego tomu sam autor formułuje w posłowiu do polskiego czytelnika, pisząc, iż opowiadania mają na celu „uwypuklenie poszczególnych etapów zbrodniczej drogi niemieckiego faszyzmu". Zbiór otwiera szkic „Skórzany fartuch", ukazujący budzenie się świadomości klasowej dziecka proletariackiego.

Opowiadanie „Byt określa świadomość" ma zobrazować opór, jaki niemiecka klasa robotnicza przeciwstawiała w latach Republiki Weimarskiej szybko rosnącemu faszyzmowi. Autor oparł opowiadanie na dość konwencjonalnym wątku fabularnym, którym wprawdzie — dzięki wyraźnemu zabarwieniu sensacyjnemu — potrafi zainteresować czytelnika, który jednak jest niedostateczny dla wyraźnego uchwycenia charakterystycznych rysów ówczesnej walki klasowej w Niemczech.

Głównym utworem, zawartym w zbiorze jest opowieść „Konrad Burscheldt i jego pokolenie". — Jak było możliwe, iż zbrodnicza „ideologia" hitleryzmu znalazła miliony posłusznych wykonawców? Na to pytanie Grünberg odpowiada historią życia typowego przedstawiciela tej generacji młodzieży niemieckiej, która dojrzewała w latach Trzeciej Rzeszy. W ramach tej opowieści pisarz zdołał plastycznie i przekonywająco ukazać zarówno działanie hitlerowskiej machiny deprawacji człowieka, jak i stopniowy rozwój świadomości młodzieży niemieckiej: od entuzjazmu, poprzez budzenie się wątpliwości aż wreszcie do pierwszych objawów buntu. Dzieje Konrada autor odtwarza chronologicznie aż do lat powojennych, uwypuklając w rozdziałach końcowych podstawową myśl utworu: „pokolenie, które stało się ofiarą potwornych metod wychowawczych brunatnych barbarzyńców, nie jest stracone dla narodu niemieckiego, pokolenie to potrafi się włączyć w dzieło budowy nowych Niemiec, kroczących drogą postępu i pokoju.

W opowiadaniach Grunberga poznajemy pisarza, który z dużą odwagą odsłania przed nami bolesne problemy niedawnej przeszłości swego narodu, który potrafi stworzyć ludzi z krwi i kości, postacie żywe i typowe, który wreszcie w interesujących, trzymających czytelnika w napięciu utworach umie treść dydaktyczną podać w sposób łatwy i przystępny. Toteż tom „Zaczęło się w Edenie" zasługuje na szerokie rozpowszechnienie jako jeden z tych dokumentów artystycznych, które zbliżają nas do trudnej problematyki naszego zachodniego sąsiada.

Przekład J. Mareckiej i M. Wołczackiej nie nasuwa zastrzeżeń. Doskonałe ilustracje Jana Kobera trafnie uzupełniają tekst.

Marceli Ranicki

Wspomnienia człowieka czynu

Mario Montagnana — „Wspomnienia robotnika turyńskiego", „Czytelnik", 1951.

Książka Mario Montagnana „Wspomnienia robotnika turyńskiego" to zarówno biografia autora, jak i włoskiego ruchu robotniczego, z którym jest on jak najściślej zespolony. Rozpoczyna ją autor opowiadaniem o wielkim strajku w przemyśle samochodowym, proklamowanym w Turynie 1912 roku i zakończonym po trzech miesiącach poważnym zwycięstwem.

Trudno referować kolejno dzieje włoskiej klasy robotniczej, tak świetnie jak to czyni w swych pamiętnikach, bogato udokumentowanych, Mario Montagnana.

Autor ich, Mario Montagnana, był czynnym uczestnikiem walki włoskiej masy robotniczej od 16 roku życia. Toteż kiedy po upadku powstania więzienia zapełniły się walczącymi przeciwko wojnie robotnikami, on też podzielił los aresztowanych towarzyszy, odzyskując wolność dopiero na skutek ogłoszonej pod naciskiem mas ludowych amnestii z dnia 20 lutego 1919 roku.

Lata 1919 i 1920 były okresem największego nasilenia ruchu robotniczego we Włoszech.

„Wiosną 1919 roku Antonio Gramsci, Palmiro Togliati, Umberto Terracini w porozumieniu z przedstawicielami odłamu rewolucyjnego partii socjalistycznej i radykalnymi działaczami związkowymi założyli czasopismo „L'Ordine Nuovo" (Nowy ład), które odegrało bardzo poważną rolę w kształtowaniu się ruchu robotniczego i w powstaniu Komunistycznej Partii Włoch. Jego zadaniem było, zgodnie z przekonaniem Gramsciego, umożliwić klasie robotniczej Włoch wydostanie się spod wpływu włoskiej partii socjalistycznej, która była zbieraniną klasową... słowem wprowadzić Włochy na drogę rewolucji proletariackiej."

Trzeba się jednak jeszcze zatrzymać na najważniejszym wydarzeniu — powstaniu Komunistycznej Partii Włoch. W styczniu 1921 roku został zwołany do Livorno Kongres Włoskiej Partii Socjalistycznej, na którym doszło do rozłamu. Komuniści rozproszeni dotychczas wśród masy członków wyodrębnili się i uzyskawszy 48.000 głosów stworzyli samodzielną partię.

„Absolutna większość turyńskiej organizacji socjalistycznej (jedna z największych we Włoszech) przeszła w szeregi komunistów. W rękach naszych — pisze Montagnana — zostały najpoważniejsze organizacje robotnicze, nie wyłączając Izby Pracy, Sekcji Metalowców, Powszechnego Zjednoczenia Robotników i Zjednoczenia Spółdzielni Turyńskich."

Nadszedł faszyzm. Prześladowania. W ciągu pierwszego dnia władzy „Duce" — aresztowano 2.000 komunistów. Po wyborach z kwietnia 1924 roku, w którym komuniści otrzymali 19 mandatów, odbył się pierwszy nielegalny Kongres Komunistycznej Partii Włoch.

„W pierwszych dniach listopada 1926 roku — pisze Montagnana — zostały wydane „ustawy nadzwyczajne o bezpieczeństwie państwa". Stawiały one poza nawias prawa wszystkie partie, stowarzyszenia i całą prasę antyfaszystowską. Wprowadzały trybunały specjalne i karę śmierci. Zwiększały wymiar kary za przestępstwa polityczne. Wprowadzały zesłanie jako karę administracyjną w stosunku do osób podejrzanych o antyfaszyzm."

Ale nie udało się zgnieść Partii. Chociaż akcentem pozornego zwycięstwa Mussoliniego kończy się 1-szy tom książki, drugi jej tom pt. „Wspomnienia robotnika turyńskiego" obejmuje okres nielegalnej działalności Partii Komunistycznej od roku 1926 aż do upadku reżimu faszystowskiego. Jest on bohaterską epopeją ludzi, którzy całe swe życie poświęcili sprawie postępu i wolności, i mimo tragicznych zdawałoby się momentów — ostatecznie zwyciężyli. Jest świadectwem nieugiętej postawy klasy robotniczej i jej wielkich przywódców, takich jak Togliati, który po uwięzieniu Gramsciego stanął na czele Komunistycznej Partii Włoch.

Jadwiga Pasenkiewicz

LIST Z KRYNICY

Szanowna Redakcjo!

Przed paru dniami otrzymałam od przyjaciółki p. mecenasowej Klotyldy Korycińskiej z Grójca Mazow. list, dowodzący wymownie, jak wielką zdobyczą naszego ustroju są wczasy w pięknej, sławnej kuracyjnej miejscowości — Krynicy. W poczuciu obowiązku obywatelskiego, który nie pozwala mi zatrzymać listu, będącego tak wymowną reklamą wzorowej realizacji pięknej idei wczasów — przesyłam go Redakcji w szczerej nadziei, że zostanie on opublikowany — ku pożytkowi t.zw. ogółu.

KAPITOLINA KURKUĆ

Krynica, wrzesień 1952 r.

Droga Kociu!

Jesteśmy z Bolkiem, Lilą i Milą, z ciotką Wiktorią i wujkiem Henryczkiem — od 6 tygodni w Krynicy. Wybacz, że nie pisałam Ci do tej pory, ale wierz mi — jakkolwiek to brzmi dziwnie — nie miałam czasu. Od 7—9 śniadanie, od 9—10 masażystka, od 10—12 deptak i kawiarnia, potem obiad, po obiedzie gramy w bridża, a potem dancing w Patrii, Romie a najczęściej i najmilej w „Cichym kąciku". Dodaj jeszcze kosmetyczkę, fryzjera i manicurzystkę — nie masz pojęcia, ile to czasu zajmuje — po parę dni przychodzi się czekać w kolejce, nie to co w Grójcu, gdzie człowieka wszyscy znają.

Aż dopiero dziś — dzięki niedyspozycji żołądkowej (na obiad zjadłam zrazy — a teraz, wiesz, nigdy nie wiadomo, z jakiego to mięsa, i w godzinę potem zaczęło mnie w dołku ściskać, więc powiadam Bolkowi: na pewno końskie! Ale nie ma tego złego, jak mówią — więc postanowiłam Ci wszystko dokładnie napisać od początku. Otóż zimą jeszcze uradziliśmy z Bolkiem wybrać się z całą rodziną do Krynicy. Bolek miał nawet pewne opory, mówił, że to nie tak łatwo, bo potrzebne świadectwo lekarskie, że wątroba, żołądek lub serce, ale ja mu oświadczyłam, że to można zrobić, zwłaszcza dla człowieka na jego stanowisku nie powinno być pod tym względem trudności.

Tę sprawę załatwił nam lekarz ubezpieczalni, który przychodzi do nas na bridge'a, ale potem wybuchła druga trudność — na cały Grójec przyszły tylko 3 miejsca do Krynicy. Z otrzymaniem tych 3-ch miejsc nie było kłopotu, bo w Wydziale Zdrowia Bolek ma znajomości, ale skąd jeszcze trzy wziąć? Henryczek uporał się z tym na własną rękę, a nam poradziła p. Żabczyńska, że dla dzieci można z łatwością na miejscu załatwić. Lila z Milą mają już wprawdzie przeszło 20 lat, ale w papierach opuściliśmy przez omyłkę jedno zero, a w sanatorium wymienili nam za małą opłatą łóżeczka dziecinne na dorosłe. Nie masz pojęcia, co tu za miłe towarzystwo! I takie jakieś nieszablonowe, że zupełnie człowiek inaczej się czuje niż w Grójcu czy nawet w Warszawie. Bolek mówi, że to wyższa forma demokracji. Wyobraź sobie, że ludzie tu swobodnie, bez żadnych burżuazyjnych oporów mówią o utraconych majątkach, kobiety noszą biżuterię i toalety, jak na paryskiej rewii, panowie zmieniają trzy razy dziennie garnitury — słowem — człowiek zapomina o miejscu i czasie. Powiadają, że w innych domach jest tak samo. Nasza znajoma p. P., mieszkająca w Patrii — mówi, że jest tam jednak pewien robotnik, ale taki jakiś wymizerowany, że ani do tańca, ani do różańca. Podobno, że przy stole słowem się nie odezwie i ciągle tylko je suchary, bo pewnie mu wstyd, że nie umie jeść widelcem i nożem. Pani P. słyszała, że opowiadał komuś, że pracuje w fabryce w Kamiennej Górze i od trzech lat choruje na żołądek, ale nie mógł dostać skierowania do Krynicy, bo zawsze jechali ważniejsi, aż w tym roku zagroził, że weźmie świadectwo lekarskie i pojedzie do Ministerstwa Zdrowia, to się nastraszyli i dali. Myślę, że dla takich powinny być oddzielne domy, bo kto to słyszał do Patrii, gdzie odbywają się dancingi; to może wywrzeć ujemny wpływ na krzepę tych obywateli.

Choć tu i ówdzie coś się zmieniło i nazwy pensjonatów zmieniono z pieszczotliwych i intymnych, jak „Dziula", „Aniutka", „Wiesia" na „Przodownik", „Robotnik" i „Kolejarz" — to duch Krynicy pozostał jednak prawdziwie demokratyczny, co widać nawet w tym, że pozostali starzy portierzy pamiętający dobre napiwki; stare kąpielowe, u których za jedyne parę złotych można wszystko o każdej porze bez kolejki w najlepszym gatunku dostać. Specjalnej zresztą kuracji nie bierzemy, ale nasz sanatoryjny doktor mówi, że kąpiele mineralne przyśpieszają obieg krwi, a woda Jana wpływa na odwodnienie organizmu, a z tego się szczupleje, chodzę więc na Jana, biorę natryski i kąpiele kwasowęglowe, a Bolek bierze borowiny na nogi, bo mu zimą parę razy strzyknęło w kolanach (tu wprawdzie oficjalnie stawów nie leczą, ale „nieoficjalnie" można wszystko). Jak widzisz, również lekarze są swoi ludzie, w naszym sanatorium np. nie ma takich naprawdę chorych, tyle że biorą masaże, natryski — wszystko to są zabiegi przyjemne i dobrze wpływające na samopoczucie i tuszę. Jedna jest nawet taka para, co zamiast zabiegów postanowiła na odchudzenie uprawiać turystykę, aż spóźnili się onegdaj na kolację, bo chodząc po znakach stwierdzili, że już parę kilometrów od Krynicy wszystkie ścieżki w górach zarosły i omal nie zabłądzili w lesie, a w dodatku bardzo ich przeraziły jakieś dzikie zwierzęta, sarny czy niedźwiedzie. Dobrze im tak — powiedział Bolek — niech chodzą po deptaku.

Bardzo nam żal, że już za parę dni trzeba wracać, Bolkowi kończy się urlop (raz już go sobie przedłużył przy pomocy znajomego lekarza 2 tygodnie, a wiesz, jacy oni są z tą „dyscypliną pracy"!). Nie masz pojęcia, co się tu dzieje z biletami na sleeping — przed Orbisem stoi się 2 doby w kolejce, na szczęście są tu tacy, co za jedyne 100 zł. od biletu wynajmują się na stanie — Henryś (wiesz, jaki on zaradny) wziął na siebie załatwienie tej sprawy. A zatem do rychłego widzenia. Ściskam Cię gorąco.

TWOJA KLOCIA

„Dziennik" Jana Szembeka

Część I (1933 — 1938): Polityka Becka przygotowuje sukcesy Hitlera w środkowej Europie.

„Notatki hrabiego Szembeka przedstawiają wartość historyczną pierwszego rzędu" — pisze Leon Noël, ambasador Francji w Warszawie w latach 1935 — 1939, w przedmowie do francuskiego wydania dziennika Jana Szembeka, wiceministra i prawej ręki Józefa Becka*) „Pamiętnik ten stanowi jeden z zasadniczych dokumentów do dziejów naszej epoki. Ktokolwiek weźmie się do jej opisania, nie będzie się mógł obyć bez tego źródła".

Wstęp Noëla stara się wydobyć różnice, dzielące „młodego" ministra (Becka) od jego „doświadczonego i rozważnego współpracownika". Nie potępiając nigdzie Becka i nie określając nawet jego polityki, Noël, szkicując charakterystykę ministra i jego zastępcy, podkreśla cechy niekorzystne dla Becka. Dla Noëla, francuskiego dyplomaty - tradycjonalisty, Szembek jest sympatyczniejszy już ze względu na pochodzenie — „krew królewska płynęła w jego żyłach od czasów Augusta Mocnego" — w przeciwieństwie do tamtego arrywisty i piłsudczykowskiego pułkownika. Noël parokrotnie powtarza z naciskiem, że Szembek był przygotowany do zawodu dyplomaty, i to w warunkach „serio", bo w monarchii austro-węgierskiej, gdzie rozpoczął karierę jako referent gubernatora Bośni i Hercegowiny, administrowanej wówczas przez Ministerstwo Skarbu Franciszka Józefa I-ego.

„Lata spędzone w dyplomacji cesarskiej — pisze Noël — utwierdziły Szembeka w typowej dla jego charakteru ostrożności i umiarkowaniu; tam też przyswoił sobie poważne metody pracy, po których do dziś odróżnić można **sługów Habsburgów"** („serviteurs des Habsbourg").

„Uderzający był kontrast, i to pod każdym względem, między młodym ministrem o postawie wojskowego — mężczyzną szczupłym, trzymającym się sztywno, z uprzejmością, którą wyczuwało się jako wyuczoną i niewyzbytą przesady przymuszonej — i jego sekretarzem stanu, wielkim panem o imponującym wyglądzie, skończonym szlachcicem, pełnym spokoju i wrodzonego taktu".

„Józef Beck bowiem, mimo że obdarzony żywą i błyskotliwą inteligencją — co skłoniło Piłsudskiego, by tego oficera ze swej gwardii przybocznej skierować do służby dyplomatycznej — Beck nie posiadał ani wiedzy, ani doświadczenia, ani powagi, charakteryzującej jego najbliższego współpracownika. Beck zresztą rozumiał... korzyści płynące z faktu, że jego zastępca poznał tradycje dawnej dyplomacji, i posiadał technikę, zdobytą jeszcze w Europie sprzed 1914 roku, co umożliwiało mu kontakt z zawodowymi dyplomatami, nie zawsze łatwy dla młodego oficera, wychowanego w konspiracji, w czasie wojny, i **nieodwykłego od praktyk 2-ego biura"** (służby wywiadowczej).

Noël, reprezentujący w Polsce politykę „francuskiej Europy środkowej", charakterystyczną dla III-ej Republiki po r. 1918, przedstawia Szembeka jako jej zwolennika, pełnego taktu, którego — jak pozwala się domyślać — brakowało innym: „Gdy rząd polski starał się w Paryżu o pożyczkę, Szembek był na tyle poprawny, by przyznać, że petycja taka łączyć się powinna ze szczerszą i bardziej serdeczną polityką wobec Francji". Z tekstu tego wynika, że Beck owej „poprawności" nie podzielał. Wreszcie Noël, mimo że niejasno, stawia Beckowi zarzut niemoralności politycznej, wciąż przeciwstawiając go wiceministrowi: „Zarówno z temperamentu, jak dzięki wychowaniu, Szembek potępiał w polityce pewne praktyki, wobec których jego minister nie odczuwał wstrętu".

Noël sugeruje, że dzięki swej postawie, Szembek był lekceważony przez pułkownika - ministra: „Czytając „Dziennik", nieraz wypada żałować, że minister Spraw Zagranicznych Polski nie wykorzystywał częściej rad tego doświadczonego dyplomaty, i że, nie pytając go o zdanie, poza jego plecami, zdawał się w pełnym zaufaniu na młodych współpracowników, ani wiedzą, ani rozsądkiem nie zasługujących na wpływ i autorytet, jakim się cieszyli. **Mimo wszystko** pułkownikowi zależało, by Szembek pozostał sekretarzem stanu".

Zręczne nagromadzenie przez Noëla szczegółów, podkreślających rozbieżności między Beckiem i jego wiceministrem, ma wywołać wrażenie cichej opozycji Szembeka wobec pułkownika. Ale lektura „Dziennika" bynajmniej tego wrażenia nie potwierdza (zresztą Noël przyznaje, że informacje te zaczerpnął z własnych wspomnień). Przeciwnie, widzimy z tych notatek, że w ciągu nieomal 7-miu lat Szembek był wiernym i rzetelnym wykonawcą polityki swego szefa, **ani razu** nie występuje ze sprzeciwem ani nie popada w konflikt z Beckiem; nie znajdujemy śladu dyskusji między nimi. Co więcej, Szembek występuje z inicjatywą uzupełniającą wobec polityki beckowskiej (w szczególności po linii pro-niemieckiej i antyczeskiej), dorzuca podtrzymujące ją decyzje, pogłębia jej fatalny dla Polski rezultat.

Kończąc charakterystykę autora „Dziennika", Noël podaje ciekawą „międzywierszową" ocenę sanacji: „Szembek, jako dyplomata dawnej szkoły, uważał, że celem dyplomacji jest zachowanie pokoju, zmniejszenie tarć między narodami i utrzymanie równowagi światowej (są to trzy typowe hasła francuskiej polityki przedmonachijskiej — przyp. nasz). **Nie pochwalał awanturniczych i ryzykanckich kombinacji, opartych na wyzyskaniu przygotowań wojennych (cudzych, tj. niemieckich), w celu osiągnięcia błahych poprawek terenowych".**

Widzimy więc, że w tej zręcznie napisanej przedmowie Noël — pod pretekstem skreślenia życiorysu autora „Dziennika", sugeruje, po jakiej linii chciałby, by ten dokument był interpretowany: wskazuje on na winę — czy współwinę — sanacji i Becka w przygotowaniu klęski monachijskiej, i usiłuje zmniejszyć w ten sposób ciążącą na nim samym odpowiedzialność.

W drugiej części przedmowy Noël dowodzi prawdomówności „Dziennika": „Dyktując swoje zapiski, Szembek ograniczał się do streszczania opinii, jaką zdarzyło mu się usłyszeć, bez podawania najmniejszego komentarza. W ten sposób, dostarcza on nam pewnego rodzaju protokółów. Tekstów tych nigdy nie poprawiał ani nie przerabiał, postępował więc jak notariusz. Jeśli zmniejsza to wartość literacką jego dziennika, powiększa za to niepomiernie jego cenę jako dokumentu, bez porównania wyższą od zapisków płk. Becka, opublikowanych niedawno pod tytułem „Ostatni Raport".

„Dokładność zapisków hrabiego Szembeka jest niezaprzeczona. Zaświadczam ją w sposób jak najbardziej odpowiedzialny, na podstawie licznych sprawozdań tu zamieszczonych, z rozmów odbytych ze mną. Z jednym wyjątkiem, gdzie nieścisłość pochodzi z nieporozumienia — Szembek z najlepszą zresztą wolą, odmiennie niż chciałem, zinterpretował moje słowa (Noël nie pisze szczegółowo, o jaki tekst chodzi) — poza tym, odnalazłem tu dokładne odtworzenie moich zdań i poglądów, często w słowach, których sam użyłem".

Jakkolwiek by było, obraz polityki sanacyjnej, przedstawiony przez jednego z jej leaderów, ma tutaj wymowę przerażającą, i przez jasność i precyzję podania przewyższa wszystkie dotychczas opublikowane pamiętniki, jak Składkowskiego, Becka, Sosnkowskiego itd. Wybór nasz podaje najbardziej charakterystyczne zapiski, w porządku chronologicznym, bez żadnego komentarza.

1933 — 1938: POLITYKA BECKA PRZYGOTOWUJE SUKCESY HITLERA W ŚRODKOWEJ EUROPIE

(Szembek rozpoczął regularne prowadzenie zapisków od stycznia 1935 r.; codziennie rano dyktował sekretarzowi zdania zasłyszane w rozmowach z dnia poprzedniego. Z lat 1933 — 1934 pochodzi tylko parę sprawozdań z konferencji u Piłsudskiego, do których autor zdawał się przykładać szczególną wagę. Wydawcy zamieścili te „rozmowy z marszałkiem" w specjalnym rozdziale na początku tomu).

PIŁSUDSKI ZADAJE SWOJEMU SZTABOWI WYPRACOWANIE: JAK OCALIĆ POLSKĘ?

Nota własnoręczna hrabiego Szembeka z konferencji w dniu 12 kwietnia 1934, u marszałka Piłsudskiego.

Zebranie w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych, pod przewodnictwem marsz. Piłsudskiego, z udziałem generałów, wśród nich Sosnkowski, Śmigły-Rydz, Kasprzycki, Fabrycy, Osiński, Gąsiorowski, Konarzewski, minister Beck, ja, oraz kilku pułkowników, Glabisz, Warta, Wenda.

Marszałek oświadczył, że na niedawnym przyjęciu u prezydenta Rzplitej, z udziałem ustępujących ministrów, zreferował sprawę położenia międzynarodowego Polski.

W tej dziedzinie zdarzeniem najważniejszym jest względnie przyjazny nasz stosunek wobec Rosji i Niemiec.

Stan ten jednak nie będzie trwał wiecznie i dlatego rząd polski musi sobie postawić pewne pytania. Marszałek myślał o tym, i sformułował zagadnienie w ten sposób:

„Który z tych dwóch krajów jest, lub może się stać bardziej niebezpieczny dla Polski?"

Marszałek wymaga, **zagroziwszy dyskwalifikacją (?), by każda z osobistości (personalités) tu obecnych złożyła odpowiedź na piśmie, własnoręczną, bez porozumiewania się z innymi, do 12 maja najpóźniej, na ręce płk. Warty.**

W dalszym ciągu marszałek rozważa uzbrojenie tych dwóch krajów i powody, jakie mogą je nakłonić do wystąpienia.

Armia i jej rozwój w Niemczech jest tylko jednym z licznych przejawów ideologii hitlerowskiej i to bynajmniej nie zasadniczym.

Dzisiejsza konferencja jest tajna.

Minister Spraw Zagranicznych zostaje zwolniony przez marszałka z obowiązku osobistego opracowania odpowiedzi na piśmie.

Po tym oświadczeniu marszałek prosi ministra Becka i mnie o opuszczenie sali, pragnie bowiem przedyskutować szczegóły wojskowe z

*) Comte Jean Szembek: Journal, 1933—39. Wyd. „Plon", Paryż. Noel opracował tekst dostarczony przez wdowę po Szembeku, zmarłym w Portugalii w 1945 r.

Przegląd prasy zagranicznej

Jak umierają polskie hrabianki

Sensacyjna prasa angielska i amerykańska zajęła się zbrodnią, popełnioną na przedmieściu Londynu na osobie polskiej hrabianki, Krystyny Skarbek, w końcu lipca tego roku. Wielki międzynarodowy tygodnik amerykański „Life” poświęca jej trzy strony (nr z 28 lipca) obficie ilustrowane dokumentami. „WHO WAS CHRISTINE GRANVILLE? A dramatic death uncovers a melodramatic life” (KIM BYŁA CHRISTINE GRANVILLE? Dramatyczna śmierć odsłania melodramatyczne życie) — głosi tytuł artykułu, zredagowanego na wzór powieści kryminalnej.

„Około północy, w ubiegłą niedzielę, kobieta zameldowana jako Christine Granville weszła do hoteliku „Shelbourne” w Kensington pod Londynem. Była to osoba szczupła, piękna, o czarnych włosach i jasnej cerze; miała 3(lat i pracowała ostatnio na parowcu pasażerskim na linii Anglia-Afryka Płd. Pełna rezerwy, małomówna i niewątpliwie niezbyt zasobna, nosiła się jakby owinięta w niewidoczny szal — w patrycjuszowską godność urodzonej arystokratki” — tak rozpoczyna się sprawozdanie, stylu którego nie powstydziłby się majstrowie klasycznego romansu policyjnego, Edgar Wallace, Oppenheim czy Christie.

Gdy dama wchodziła po schodach do swego pokoju — czytamy dalej — zawołał na nią pewien mężczyzna. Było to spotkanie nieprzewidywane przez Christine. Po paru minutach portier, usłyszawszy krzyk pani Granville: „Zabierzcie go stąd!”, wpadł do pokoju wraz z dwoma innymi mężczyznami i razem obezwładnili człowieka, który rozmawiał z Christine. Był to Dennis Muldowney, członek załogi parowca, na którym zatrudniona była Christine. Ona sama leżała na podłodze w kałuży krwi, z nożem o drewnianej rączce, pogrążonym w piersi; zmarła w parę minut potem.

Dochodzenie, wszczęte przez Scotland Yard — pisze dalej „Life” — odkryło niezwykłą przeszłość ofiary.

Przyszła ona na świat jako hrabianka Krystyna Skarbek — „nazwisko głośne w Polsce od r. 1002, gdy przodek Krystyny dał dumną odpowiedź cesarzowi Henrykowi II”. Ukochana i rozpieszczona córka magnata Krystyna dojrzewała w majątku swego ojca pod Piotrkowem, „jeździła na szlachetnych koniach, zimą zaś na nartach w Karpatach, zdobyła też nagrodę na zimowym konkursie piękności.” W wieku lat 22 poślubiła pisarza polskiego(?), z którym żyła w Addis Abebie (już po inwazji Włoch na Abisynię), gdy wybuchła wojna 39-go roku. **Wówczas Krystyna udała się do Londynu i ofiarowała swoje usługi wywiadowi angielskiemu** (British Intelligence — podkreślenie nasze). Skierowano ją najpierw do Budapesztu, skąd, pracując jako dziennikarz, wielokrotnie udawała się do Polski, przemycając „oficerów i lotników alianckich”. Pomagał jej w tym **„Andrzej Kowerski, obecnie Andrew Kennedy, również pracujący dla Brytyjczyków”**, przyjaciel Krystyny z lat dziecinnych. Pewnego razu wpadli oni w ręce Gestapo, ale „zimna krew, przytomność umysłu, przede wszystkim zaś — zdolności hypnotyczne(?) Krystyny ocaliły ich od śmierci” Ów nadprzyrodzony talent hrabianki uratował ją niejednokrotnie, np., gdy przeprowadzała pięciu oficerów czeskich do Jugosławii, zostali zatrzymani przez patrol, **ale Krystyna skierowała na żołnierzy swoją siłę magnetyczną, i nie tylko ocaliła się, ale zmusiła Niemców do popychania przemycanego samochodu, który utknął na drodze!**

Ale koniec wojny nie przyniósł korzystnej odmiany pannie Christine Granville (był to jeden z jej pseudonimów konspiracyjnych). Pracowała dla British Intelligence przez sześć lat, „co jest rekordem w tym zawodzie zrywającym nerwy — należy wziąć pod uwagę, że inne kobiety - wywiadowczynie nie wykonują więcej jak jedną lub dwie misje”. Otrzymała liczne odznaczenia. Lecz nikt jej nie znał — działalność jej z natury rzeczy nie mogła przynieść rozgłosu. **„Gdy wróciła do Anglii po wojnie, pragnąc zostać obywatelem kraju, dla którego walczyła, okazało się to niemożliwe, ponieważ nie mogła się wykazać pięcioma latami stałego pobytu na ziemi brytyjskiej**, co jest wymagane przez prawo”. Jako cudzoziemiec miała trudności z otrzymaniem zajęcia. Zbyt dumna by handlować swoimi medalami, wzięła się do pracy fizycznej, jako robotnica w sklepie, za 14 dol. tygodniowo (płaca najniższa), jako portier w magazynie, wreszcie jako służąca na okręcie. **Porzuciła tę pracę, gdy kazano jej zmywać klozety.**

Ale jej szef na okręcie, naczelny steward Muldowney, naprzykrzał jej się, odwiedzając ją w Londynie, do tego stopnia, że złożyła na niego skargę na policji. Sądziła że pozbyła go się ostatecznie i chciała się wybrać do Brukseli, do swego starego przyjaciela, majora Andrew Kennedy. „Właśnie w przeddzień tej podróży, w małym hoteliku Shelbourne, zakończyła się tragicznie niezwykła kariera Krystyny Skarbek”.

Zdjęcia dołączone do reportażu pokazują „Krystynę z uśmiechem wygrzewającą się na słońcu w jej rodzinnym majątku w Polsce”, następnie scenę na cmentarzu katolickim w Kensal Green, gdzie paru przyjaciół oddaje zamordowanej ostatnią przysługę: „major Kennedy poprawia krzyż z jej nazwiskiem, przewrócony przez wiatr”, wreszcie medale Krystyny: „order of the British Empire, odznaczenie za résistance (francuskie), Croix de guerre”, oraz „polski medal religijny, który włożono jej do trumny” — jest to medalion srebrny z płaskorzeźbą M. B. częstochowskiej.

Po zamordowaniu żony Rydza-Śmigłego w roku ubiegłym w lecie, jest to druga podobna afera w środowisku emigracji polskiej, rozwałkowana przez prasę rynsztokową. Pisma detektywne wysunęły wówczas przypuszczenie, że Rydzowa (znaleziono ją w Monte-Carlo, potwornie pokrajaną w kawałki) zginęła z ręki jednego z młodzieńców, którym ofiarowywała prezenty, sprzedając klejnoty pozostawione jej przez męża. Podobnie przykry ton ma historia „Christine Granville”; ale cóż za los — niby skrót historyczny — tej hrabianki, potomka „tysiącletniej rodziny” wywiadowczyni British Intelligence, kosmopolitki bez przydziału obywatelskiego, służącej na okręcie, zamordowanej przez stewarda, który usiłował nadużyć jej jako kobiety. Jako nekrolog po ostatniej pannie Skarbkównie pozostanie felieton kryminalny w amerykańskim piśmie, pełen sensacyjnych szczegółów o „hipnotyzmie”, który pomógł jej zwalczyć Hitlera, ale nie obronił przed natrętnym żygolakiem z międzynarodowej linii okrętowej...

zkł.

Klęska Uptona Sinclaira

W związku ze zbliżającymi się wyborami prezydenta USA kronikarz „Amer. Litt. Review” zwraca uwagę na rzadkość tematyki wewnętrzno-politycznej w literaturze pięknej Stanów Zjednoczonych. Jedyną głośną powieścią podejmującą ten problem jest „All the King's Men” („Jesteśmy wszyscy ludźmi króla”) — autor, dziennikarz R. P. Warren, otrzymał za tę rzecz nagrodę Pulitzera — najwyższe literackie odznaczenie amerykańskie w r. 1947. Bohaterem powieści jest działacz polityczny, skromny nauczyciel, który z pomocą oddanej mu sekretarki wspina się na szczyty kariery, zostaje gubernatorem stanu i przewidziany jest jako kandydat do Białego Domu. Ale władza uderza do głowy temu niegdyś łagodnemu i uczynnemu „good fellow” (dobremu koledze); marzy o dyktaturze, otacza się gwardią specjalnie umundurowaną, uwodzi narzeczoną swego najbliższego współpracownika, rzuca żonę, nie cofa się przed fałszerstwem i terrorem wobec przeciwników — ginie wreszcie z ręki młodego i zdolnego lekarza-idealisty, który przejrzał charakter gubernatora i zabija go po olśniewającym przemówieniu, wobec nieświadomego i rozentuzjazmowanego tłumu. Recenzent „M. and Mainstream” porównał tę powieść do „Chaty wuja Toma” pani Stowe; podobnie tam problem murzyński załatwiony został za pomocą cukierkowej i dziecinnej litości, „niedobrzy prześladowcy” napiętnowani, zacny czarny wuj Tom z biblią w ręku opromieniony łatwą serdecznością — co ma wystarczyć, byśmy się tą sprawą więcej nie zajmowali.

Prócz powieści Warrena, dzieła przez swą rzekomą śmiałość rozbrajającego, konformistycznego i aprobującego przyjęty w USA system moralności politycznej — nie widzimy godnego uwagi utworu o kulisach polityki wewnętrznej. A przecież współczesna literatura amerykańska, w neurastenicznym poszukiwaniu „nowego tematu”, przeorała wszystkie najmniej dostępne dziedziny życia codziennego, nawet wnętrze mózgu wariatki („The Snake Pit” Rossena). Przyczyną tego — twierdzi „Amer. Litt. Review” — jest fakt, że żadnemu literatowi nie udało się wtargnąć do zamkniętego klanu zawodowych polityków. Charakterystyczne są tu dzieje jednego z najwybitniejszych pisarzy społecznych Ameryki, Uptona Sinclaira, który jeszcze przed wojną wystąpił jako kandydat na gubernatora swojego stanu (Kalifornia).

Klęska wyborcza Sinclaira jest przykładem potęgi koterii politycznej, która, operując uczciwymi, kontrolowanymi i pięcioprzymiotnikowymi wyborami, przeprowadza wszakże swoją wolę. Sinclair uważany był za niebezpiecznego z trzech powodów: oceniano go jako „czerwonego” i zbliżonego do komunistów (jego hasło wyborcze było „EPIC”, „End Poverty in California”, „Skończyć z nędzą w Kalifornii”), następnie występował jako „samotnik” i nie chciał się porozumieć z żadną grupą polityczną, wreszcie można go było podejrzewać, że jako pisarz zechce wykorzystać swoje doświadczenie polityczne, by je potem ogłosić drukiem, co musiałoby mieć znaczenie demaskatorskie wobec „trustu szefów”. Walka z Sinclairem wydawała się wszakże skazana z góry na klęskę. Był on już wtedy jednym z najgłośniejszych pisarzy Ameryki, autorem „Nafty” i „Króla węgla”, świetnym mówcą i ruchliwym organizatorem.

Jednakże po wielotygodniowej polemice wyborczej Sinclair otrzymał kompromitująco drobny procent głosów, i gubernatorem został, w jego miejsce, nic nie znaczący urzędnik Merrriam, podstawiony przez trusty filmowe skupione na terenie Kalifornii (w Hollywood i Los Angeles). Źródłem przegranej Sinclaira był prosty fakt, wyrażony w zdaniu, że „wyborcy głosują nie za pomocą głowy, ale ćwieka, który im w nią wbito”. Obywatel USA przyzwyczajony jest od dziecka, że ma postępować według kilku wpojonych odruchów: dotyczy to również jego życia politycznego.

Przeciwnicy Sinclaira rozporządzali prasą i filmem, do których pisarz nie miał dostępu. Popełniali oni zadziwiające fałszerstwa, np. sami rzucali hasła, rzekomo w imieniu Sinclaira, które następnie również sami zwalczali. Pewnego dnia na ulicach pojawiły się afisze: „Jeśli zostanę gubernatorem, bezrobotni USA znajdą przyjęcie w Kalifornii! SINCLAIR”. Pisarz nigdy podobnej zasady nie wygłosił — ale nim zdołał zwalczyć kłamstwo, prasa zaroiła się od wiadomości o napływie włóczęgów do Kalifornii. Zamieszczano autentyczne meldunki o nagłym wzroście imigracji obdartusów, dostarczane przez urzędników granicznych Stanu uzależnionych od Merriama W Hollywood nakręcono dziesiątki dodatków filmowych, wyobrażających bandy dawno niegolonych wyrostków, oblepiające wagony towarowe „kierunek — Kalifornia”. Sfilmowano „wywiady z obywatelami”: siwowłosa i czcigodna pani, bujając się w hamaku w ogródku, odpowiadała reporterowi, że głosuje na Merriama, bo „nie chce utracić swego domku i spokojnej starości”; opryszek o wyglądzie kanibalicznym, w rubaszce, oświadczał przepitym basem, że jest zwolennikiem Sinclaira, bo „rżnęło się w Rosji, będzie się rżnąć i w Kalifornii, ha-ha-ha!” Wypuszczono ulotki w formie rzekomych „banknotów czerwonych”, „Sincliar dollar” („liar” znaczy kłamca), „good only in California or Russia” (ważny tylko w Kalifornii lub Rosji), podpisane „gubernator — Utopion Sinclair” (od „utopia”). Kalifornijski „Times” zamieszczał codziennie wyjątek z powieści Sinclaira, urwany w połowie, tak by autor wyglądał na niebezpiecznego nihilistę: pod tytułem „SINCLAIR PRZECIWKO MAŁŻEŃSTWU” — drukowno tekst: „Świętość małżeństwa... wierzyłem w to kiedyś... ..dziś straciłem tę wiarę”. „Sinclair, Pielgrzymka miłości, str. 650”. Tekst ten wypowiada u Sinclaira bohaterka, z którą autor bynajmniej się nie solidaryzuje. Sinclair usiłował wyszydzić tę metodę, zamieszczając urywki z biblii i Szekspira: „Poszedł Judasz i powiesił się” — TESTAMENT WZYWA DO SAMOBÓJSTWA, i „Lady Makbet”: Trochę wody zmyje tę krew z rąk” — SZEKSPIR USPRAWIEDLIWIA MORDERSTWO.

Mimo inteligencji, ruchliwości, wytrwałości — Sinclair, który mógł drukować tylko ulotki — przegrał w stosunku kompromitującym, raz jeszcze swoją klęską dowodząc precyzji mechanizmu amerykańskiej polityki wewnętrznej, niedostępnej dla „obcych” — i to z aprobatą wyborców, rozporządzających najzupełniej wolną wolą...

zkł.

Kąkol bez pszenicy

Państwowy Teatr Ludowy gra obecnie komedię Tadeusza Łomnickiego „Kąkol i Pszenica”. Walory artystyczne i wykonawcze utworu nie usprawiedliwiają bardziej szczegółowej analizy. Jest jednak w tym kąkolu i w tej pszenicy coś, nad czym trudno przejść do porządku: mętniactwo, niezrozumialstwo.

Jak wynika z artykułu autora zamieszczonego w programie teatralnym, miał on zbożny zamiar pokazać wieś współczesną, w której kułacy — wilki w owczej skórze — robią wszystko, by nie dopuścić do rozwoju spółdzielczego ruchu chłopskiego. Pięknie! Ale sztuki teatralne to przecież nie lepiej lub gorzej napisane deklaracje na temat tego, co by się chciało zrobić czy wyrazić. Sztuka teatralna musi mieć trzon, fabułę, akcję. Otóż ośmielam się twierdzić, że w „Kąkolu i Pszenicy” wyłuskanie treści z oceanu słów, frazesów i sloganów jest po prostu niemożliwe. Wiemy z grubsza, że gromada wiejska toczy z kilkoma kułakami walkę o jakieś drzewo, z którego odbudować się ma spalona wieś, ale to mniej więcej wszystko. Cała ta kilkudziesięciuosobowa kompania radzi bez przerwy, urządza wiece, zebrania, a widz przez cały wieczór nie ma pojęcia, jak to właściwie jest z tym drzewem, kim są ludzie wchodzący w skład komitetu wiejskiego, jakich to niedozwolonych tranzakcji chce dokonać banda kułaków. Ze sam teatr miał co do tego wątpliwości dowodzi fakt, że, jak głosi afisz, na sztuce dokonano zabiegu, nazwanego dosyć patetycznie „opracowaniem dramaturgicznym”.

Bywa, że ktoś napisze nieudolną sztukę. Bywają, muszą bywać pomyłki ze strony tych, którzy o wystawieniu utworu decydują. Kiedy jednak pomyłka idzie tak daleko, że widownia, broń Boże nie ze względu na jakąś głębię myśli autora, a po prostu z powodu jego nieporadności, otrzymuje utwór po prostu niezrozumiały, bicie na alarm staje się obowiązkiem.

Tego wieczoru, kiedy na próżno w ciągu kilku godzin biedziłem się nad uchwyceniem wątku scenicznego sztuki Łomnickiego, całe pierwsze piętro teatru zajęte było przez uczennice którejś ze szkół. Nie bez lęku myślałem o tym, ile kąkolu i niezawinionego mętniactwa znajdzie się w relacjach ustnych i pisemnych tych dziewcząt, które przecież przyszły do teatru, by wzbogacić swą wiedzę o tym, jak rośnie, walczy i rozwija się nasza wieś.

fr.

Kulisy ONZ w teatrze



Scena z „Ortegi” A. Tarna w inscenizacji Teatru Olsztyńskiego.

Prosty, uczciwy człowiek pragnący pokoju coraz bardziej traci złudzenia co do planów i zamiarów kliki, która dziś rządzi Ameryką. Zwłaszcza człowiek w Polsce. Wie on już, że ci, którzy dziś decydują o polityce Stanów Zjednoczonych nie uznają naszej granicy zachodniej, chcieliby wzniecić u nas pożogę wojny domowej, rzucając na sabotaż i szpiegostwo olbrzymie sumy.

Jednak ogół ludzi i u nas, i w innych krajach nie zdaje sobie dokładnie sprawy, w jaki sposób koterie sprawujące dziś rządy w Stanach Zjednoczonych zniepraWiają i zatruwają instytucję, która miała stać na straży pokoju, łączyć ze sobą narody. Instytucją tą jest ONZ, która w ciągu lat ostatnich coraz bardziej staje się narzędziem sił pchających świat ku wojnie. Trudno się w tej machinie zorientować, jest bowiem niezwykle skomplikowana, ma niezliczone tryby i trybiki a ci, którzy nią kierują, posługują się szyframi właśnie po to, by zaciemnić i zniekształcić istotny stan rzeczy.

Sztuka **Adama Tarna „Ortega”**, której prapremiera odbyła się w drugiej połowie września w Olsztynie, pomaga w zdemaskowaniu tych szyfrów, pozwala przyjrzeć się dokładniej ONZ, zobaczyć, jak funkcjonuje mechanizm tej instytucji. Tarn, który przez kilka lat był członkiem stałej delegacji polskiej w ONZ, a później naczelnym redaktorem oficjalnych publikacji tej instytucji, ukazuje w swym nowym utworze świat a raczej światek biura tłumaczy tej organizacji. Zespół ten składa się z ludzi o bardzo różnych pionach moralnych, charakterach i poglądach. Są w nim i zdecydowani wrogowie faszyzmu, i ludzie o słabych, chwiejnych charakterach, i zwyczajni agenci pozostający na usługach wywiadu amerykańskiego. Wszyscy ci tłumacze, rekrutujący się z krajów całego świata, ocierając się w codziennej pracy o zagadnienia polityczne, siłą rzeczy ulegają procesowi politycznej krystalizacji. Podczas gdy część, mniej liczna, staje po stronie agresorów, część druga, wyciągając wnioski z tego, co widzi i przeżywa na terenie ONZ, zaczyna rozumieć, że za pokojowymi frazesami ukrywa się wojna, a instytucja, w której się pracuje, traci coraz bardziej charakter międzynarodowy, staje się kosmopolityczną ekspozyturą interesów amerykańskich. Tarn ukazuje, jak fakt podpisania przez pewną grupę pracowników ONZ apelu sztokholmskiego oraz utworzenie komitetu, którego celem ma być zbieranie podpisów pod tym apelem, mobilizuje siły oenzetowskiej reakcji, która w sposób najbardziej bezwzględny rozprawia się z „czerwonymi”.

Tarn, znający dobrze poszczególne kółka machiny, nie tylko demonstruje, jak ta machina działa. Ukazuje również, jak dojrzewają w ogniu walki ludzie dotychczas niezdolni do czynu, do decyzji, jak budzi się w nich świadomość, że nie wolno stać na uboczu, ze przekazując cudze słowa i myśli, trzeba mieć również własne. Człowiekiem takim jest najwybitniejszy członek ekipy tłumaczy, Hiszpan Ortega. I w okresie wojny domowej w Hiszpanii, i w czasie wojny światowej, i po niej, będąc antyfaszystą, był jedynie dobrze zarabiającym specjalistą, rozmiłowanym w językoznawstwie. Dopiero kiedy po kilku latach pracy w ONZ zrozumiał, jakim celom służy ta jego bierność, apolityczność, decyduje się zmienić protest wewnętrzny na czynny, jawny, wyraźnie stanąć po stronie „czerwonych”. Nie powstrzyma go od tego ani żona, zaklinająca, by trwał przy swej intratnej kosmopolitycznej bierności, ani obawa przed deportacją do ojczyzny, którą rządzi generał Franco.

Rację ma Tarn piętnując, demaskując bezwzględność, bezlitosność, reakcyjność „aparatu”, kierującego ONZ. Wydaje się jednak, że sprawa samego Ortegi została zbyt już uproszczona. Zapewne, Amerykanie, którzy zobaczyli w Ortedze groźnego przeciwnika, chcieliby deportować go do Hiszpanii, wydać go na pastwę faszystowskiego wymiaru sprawiedliwości. — Nie uwzględnia jednak Tarn jednego: układ stosunków międzynarodowych jest na razie taki, że trudno uwierzyć w możliwość realizacji tej „zbożnej” chęci. Ze autor miał tu pewne wątpliwości, dowodzi dalszy rozwój wypadków. Kiedy przed Ortegą staje widmo deportacji, żona jednego z tłumaczy, Polka, wysuwa projekt zwrócenia się do oficjalnego przedstawiciela Polski w Stanach Zjednoczonych, który niewątpliwie pomoże Ortedze w otrzymaniu prawa azylu w naszym kraju. Samo wysunięcie tego projektu i przeświadczenie, że będzie on zrealizowany, rozprasza grozę związaną z widmem deportacji, ukazując — nie jedyne zresztą — wyjście z tragicznej sytuacji. Dzięki takiemu postawieniu sprawy autor mógł dać swej sztuce wydźwięk optymistyczny, zakończyć ją krzepiącym happy-endem, ale trafny obraz rzeczywistości został zniekształcony przez samo postawienie Ortegi w obliczu deportacji.

Zastrzeżenia budzi również sposób, w jaki autor ukazuje Ortegę po decyzji zerwania z domem i żoną Ortega decyduje się na ten krok z obojętnością a nawet chłodem. Ta reakcja człowieka, który, jak wynika z rozmowy przeprowadzonej na scenie z żoną, był najlepszym, najczulszym mężem i ojcem, wydaje się mechaniczna. Trudno uwierzyć, by człowiek typu Ortegi, znalazłszy się w podobnej sytuacji, zareagował tak, jak to widzimy u Tarna.

Niezależnie od tych wątpliwości trzeba stwierdzić, że „Ortega” to utwór pouczający, wzbogacający naszą wiedzę o Ameryce, a nawet chwilami pasjonujący. Nie tylko ze względu na swą zawartość, na żywość dialogów, na trafny, wyrazisty rysunek poszczególnych postaci; obok ładunku myślowego jest w „Ortedze” ładunek uczuciowy, jest żarliwa wiara w człowieka.

Teatr olsztyński, którego ambicją stały się w ostatnich latach prapremiery polskich sztuk współczesnych, zajął się „Ortegą” z sumiennością zasługującą na uznanie. Na pierwszym miejscu wymienić trzeba scenografa Zbromirskiego, który dał bardzo ciekawie pomyślane wnętrza. Inscenizator i reżyser Milski nadał żywe wartkie tempo, dobrze ustawił dialogi i dobrze nimi pokierował. Surzyński jako Ortega słusznie nie starał się być osią i bohaterem dramatu, który jest przecież sztuką nie tylko o Ortedze. Szczere prawdziwe akcenty miała Zielińska jako Diana, żona Ortegi. W scenie nakłaniania Ortegi, by wytrwał dalej w wygodnej bierności, pokazała słusznie przede wszystkim swoją zależność od zmaterializowanego środowiska, z którego wyrosła. Spośród galerii tłumaczy najżywiej, najbardziej soczyście zarysował „białego” Rosjanina Pietrowa Błotnicki, dając sylwetkę człowieka, który wprawdzie rozumie, że broni złej sprawy, ale jest za słaby, by się wyrwać z bagna. Prosto i przekonywająco zagrał Orłowski Filipa Dalou, kosmopolitę-Francuza na usługach wywiadu amerykańskiego.

„Ortega” w Olsztynie to jeszcze jeden dowód, że teatry terenowe wyprzedzają nasze sceny stołeczne w chwalebnym zainteresowaniu się polską twórczością współczesną.

Jacek Fruhling

„OSKARŻAM!”

(Dokończenie ze str. 3-ej)

socjal-radykałach i zachęcona sukcesami wyborczymi socjalistów, napływała w szeregi partii socjalistycznych. Konfuzjonizm ideologiczny był silny również w środowisku socjalizujących pisarzy, z których wielu skłaniało się ku anarchizmowi. I żaden z ówczesnych postępowych pisarzy nie doszedł we Francji do konsekwentnie rewolucyjnych pozycji. Tak więc tragedia Zoli jest tragedią wielu pisarzy tej epoki, którzy zdawali sobie sprawę z konieczności obalenia ustroju burżuazyjnego, ale nie mogli znaleźć właściwej drogi. Jest to także tragedią ówczesnego francuskiego ruchu robotniczego.

Wielkość Zoli nie leży w jego teoriach, lecz w tym, że mimo wszelkich ograniczeń własnych teorii, własnej metody pisarskiej, potrafił obnażyć i zdemaskować ustrój burżuazyjny, dostrzec i ukazać nowe siły społeczne, zobaczyć w nich ten czynnik, który przebuduje świat. Wielkość Zoli leży także i w tym, że mimo napaści, oszczerstw i prześladowań nieugięcie i wytrwale bronił sprawiedliwości.

*

Już w 1866 r., gdy dzienniki paryskie rozpętały kampanię przeciwko Manetowi, Zola występuje odważnie w jego obronie i choć burza zwróciła się przeciw niemu, nie ustąpił.

W dwadzieścia lat później, gdy młody pisarz Louis Desprez został oskarżony o obrazę moralności publicznej w powieści *Wokół dzwonnicy* i na mocy wyroku sądowego osadzony w więzieniu razem z pospolitymi przestępcami, Zola wespół z kilku pisarzami domaga się złagodzenia kary z uwagi na zły stan zdrowia Despreza. Interwencja była jednak bezskuteczna; Desprez umarł po wyjściu z więzienia. Zola publikuje wówczas w *Figaro* list otwarty, w którym oskarża władze o dokonanie mordu na młodym pisarzu: *„W tej chwili nie chcę wcale zastanawiać się, czy w tym morderstwie uczestniczył jaki trybunał, sędziowie, prefekt policji. Ogarnia mnie jedynie niepohamowane pragnienie krzyku: Ci, którzy zamordowali to dziecko, są nędznikami!”*

U schyłku życia, po długich walkach literackich, w których nie szczędzono mu upokorzeń, Zola naraża się ponownie na prześladowania i staje w obronie człowieka, przeciw któremu skupiły się wszystkie siły reakcji. Występuje jako pisarz świadomy swej roli i odpowiedzialności. Swoim *Oskarżam* celowo prowokuje proces, pragnąc zadokumentować czynem, że nie oddziela życia od literatury, że gotów jest poświęcić wszystko, by bronić w życiu tego, o co walczył w literaturze: prawdy i sprawiedliwości. *„Mam jedyną namiętność — światło, w imię ludzkości, która tyle cierpiała i która ma prawo do szczęścia. Mój płomienny protest jest jedynie krzykiem mej duszy. Niech więc prowadzą mnie przed trybunał i niech śledztwo odbędzie się w pełnym świetle dnia. Czekam”*. A w kilka tygodni potem mówił w czasie procesu: *„Wszystko zdaje się być przeciwko mnie; obie izby, władze cywilne, władze wojskowe, dzienniki o wielkich nakładach, opinia publiczna, którą zatruto. A ja mam za sobą tylko ideę, ideał prawdy i sprawiedliwości. I jestem zupełnie spokojny, zwyciężę. Nie chciałem, by kraj mój tkwił w kłamstwie i niesprawiedliwości. Można mnie tutaj skazać. Ale pewnego dnia Francja podziękuje mi za to, że pomogłem jej ocalić honor”.*

I Francja podziękowała wielkiemu pisarzowi przez usta swoich najlepszych synów, którzy bronią wielkiego pisarza przed oszczerstwami, spadkobierców tych, co zmusili go do opuszczenia kraju, co odebrali mu Legię Honorową, zdrajców z dnia wczorajszego i z dnia dzisiejszego. *„Jedynym, prawdziwym zadośćuczynieniem, jakie można dać Emilowi Zoli* — pisał Aragon — *prawdziwym zadośćuczynieniem będzie prowadzić dalej dzieło podjęte przez Zolę”.*

Kontynuował dzieło Zoli Romain Rolland walcząc z faszyzmem w obronie pokoju. Kontynuował dzieło Zoli Henryk Barbusse demaskując w swoim *Oskarżam* antyradzieckie prowokacje francuskich faszystów i podżegaczy wojennych. Kontynuowali je bojownicy Ruchu Oporu. Kontynuują je Raymonde Dien i Henri Martin. Kontynuuje je naród francuski jednoczący się w walce przeciw zdrajcom i kolaboracjonistom, w obronie sprawiedliwości, w obronie pokoju. *„Emil Zola oskarżał rządy z 1898 r. o podeptanie praw człowieka i obywatela i o skazanie niewinnego* — pisał w 1948 r. Jacques Duclos. — *Dziś także niewinni są w więzieniach, podczas gdy zbrodniarze są na wolności, a miliony Francuzów oskarżają koła rządowe o porzucenie zasady niezależności narodowej i o przekształcenie naszego kraju w kolonię imperialistów amerykańskich. OSKARŻAM odważnie rzuconemu przed pięćdziesięciu laty przez Zolę odpowiada dziś echem OSKARŻAM ludu francuskiego, który chce być panem swoich przeznaczeń we Francji, wiernej swojej przeszłości w walce o wolność, postęp i niezależność narodową.”*

Adam Kotula

---

panami sztabowcami, którym chce przedstawić szereg uwag krytycznych.

Płk. Beck i ja wychodzimy.

PIŁSUDSKI JAKO ZNAWCA SPRAW ROSYJSKICH I NIEMIECKICH

Nota na temat rozmowy marszałka Piłsudskiego z Louis Barthou, ówczesnym francuskim Ministrem Spraw Zagranicznych.

W dn. 23 kwietnia 1934 marszałek przyjął w Belwederze pana Barthou w obecności ambasadora Francji Laroche, ministra Becka i mnie.

Marszałek rozpoczął rozmowę, wspominając podróż do Francji w r. 1921. P. Barthou przekazał marszałkowi pozdrowienia od marsz. Pétain. Marszałek skorzystał z okazji, by wyrazić szacunek, jaki żywi dla marsz. Pétain i dla gen. Mangin, których uważa za największych wodzów Francji.

P. Barthou zapytał następnie, czy zdaniem marszałka Rosja przystąpi do Ligi Narodów. Marszałek odpowiedział, że **ma zwyczaj zajmować się specjalnie sprawami rosyjskimi tylko dwa razy do roku.** Ostatnio się nie zajmował, ale, jego zdaniem, Rosja do Ligi nie przystąpi.*)

Rozmowa przechodzi na nasze stosunki z Niemcami. Marszałek podkreśla, że zaszła wielka i korzystna zmiana. Zniknęły raz na zawsze małe złośliwości, wypadki graniczne, napaści dziennikarskie itp. przykre drobnostki — niedawno na porządku dziennym. Następuje piękna poprawa stosunków, na przykład — w dziedzinie sportu. **Zdaniem marszałka, w Niemczech toczy się zawzięta walka przeciw temu co nazywamy duchem pruskim.**

(kwiecień 1934, tj. półtora roku po dojściu Hitlera do władzy).

(Począwszy od 2 stycznia 1935 Szembek zapisuje regularnie wszystkie rozmowy polityczne).

JUŻ W 1935 ROKU LOSY CZECH ZALEŻĄ OD STANOWISKA POLSKI

3 styczeń 1935 r. Rozmowa z płk. Czerwińskim (attaché wojskowy w Pradze).

Zdaniem Czerwińskiego, nastroje w wojsku czeskim są nerwowe. Czesi zdają sobie sprawę, że w wypadku wrogiego stosunku Polaków nie tylko będą zmuszeni przekształcić cały plan obrony, ale wręcz są zagrożeni klęską. Współpraca z nami przedstawia dla nich 60 proc. na 100 ich gwarancji bezpieczeństwa. Zapytałem płk. Czerwińskiego, jakie jest położenie armii czeskiej, wobec prądów pacyfistycznych, nurtujących od dawna i osłabiających społeczeństwo czeskie. Czerwiński twierdzi, że w ostatnich latach Czechosłowacja dokonała olbrzymiego wysiłku militarnego i propagandowego. Najlepszy dowód, to przedłużenie czasu trwania służby wojskowej z początkowego półtora roku— co zmniejszono do roku i 2 miesięcy — do dwóch lat obecnie. Wysiłek obronny widać na każdym kroku, szczególnie w przemyśle, ale sytuacja geograficzna jest b. niekorzystna, bo centrum wytwórczości ciężkiej jest Pilzno, położone zbyt blisko granicy niemieckiej.

AMBASADOR FRANCJI ROBI WYRZUTY SZEMBEKOWI

23 styczeń 1935. Rozmowa z Laroche'm.

Dowiedziawszy się, że Goering ma przybyć z wizytą do Polski, Laroche zapowiada, że jego przyjazd będzie komentowany w prasie francuskiej (nieżyczliwie dla Polski). Odpowiadam, że to jest nieuniknione, bo ciekawość dziennikarzy nie ma granic.

Laroche stwierdza, że chciałby wyjaśnić nieporozumienia powstałe ostatnio między Francją i Polską. Odpowiedziałem mu, że powodem ich jest kompletny brak zrozumienia ze strony Francji. Od 15-tu lat słyszymy ze strony francuskiej, że „korytarz” pomorski i nasze złe stosunki z Niemcami mogą doprowadzić do nowej wojny europejskiej. Gdy zaś usiłujemy uregulować owe stosunki, wyrzuca się nam lekceważenie sojuszu z Francją. „We Francji zarzuca wam się jedno tylko — mówi Laroche — że utrzymujecie bezpośrednie stosunki z Niemcami, bez informowania francuskiej sojuszniczki, i że Niemcy są waszym jedynym doradcą politycznym”.

HITLEROWIEC MÓWI: MY I WY TWORZYMY CAŁOŚĆ!...

27 styczeń, 1935. Rozmowa z Keudellem.

Na obiedzie u Becka z okazji wizyty Goeringa w W-wie rozmawiam **z Oberforstjägerem** Rzeszy von Keudellem, który mi się przedstawia jako syn byłego ambasadora w Konstantynopolu, w czasach Bismarcka. Mówi mi, że żaden rząd niemiecki, prócz hitlerowskiego, nie ośmieliłby się zawrzeć paktu z Polską; upadłby natychmiast. Pytam go, czy polityka przyjaźni, zapoczątkowana przez Hitlera, znajduje zrozumienie w kraju. Zapewnia mnie, że tak jest, szczególnie na prowincji, — w Berlinie jest wielu ludzi zacofanych, kierujących się starymi przyzwyczajeniami politycznymi... Złączeni jesteśmy wielkimi sprawami gospodarki. Tworzymy całość — nieprawdaż? — wielką całość ekonomiczną — pamiętajmy, że **przeciwko nam** podnosi się podobna „całość” rosyjska, zaś **obok nas** istnieją dwie inne całości: Imperium Brytyjskie i Francji z koloniami.

LAROCHE GROZI ZERWANIEM PAKTU

28 styczeń 1935. Rozmowa z Laroche'm.

Ambasador Francji podkreśla, że opinia francuska jest poważnie zaniepokojona stanem spraw między Polską a Francją. „Wasze rozmowy z Niemcami robią wrażenie, że nie przywiązujecie wagi do naszego paktu. Gdyby rząd francuski, pod naciskiem opinii, **został zmuszony do wypowiedzenia tej ugody**, byłoby to b. złe dla Francji, ale nie wiem, czy posłużyłoby Polsce”. „Powtarzacie bez przerwy — ciągnął Laroche — że was nie pojmujemy, że istnieją między nami trudności, spowodowane nierozważnymi wystąpieniami, czy też brakiem zrozumienia. Tymczasem rzecz ma się inaczej, to wy nas ani nie znacie, ani nie możecie zrozumieć. Nigdy nie mówicie jasno, do czego zmierzacie, i to jest przyczyna stopniowego zaciemniania się horyzontu”.

Wychodząc już, Laroche powiedział mi, że jest przekonany, że ja osobiście życzyłbym sobie powrotu dobrych stosunków między Francją i Polską. Potwierdziłem mu to, ale powiedziałem też, że uważam **odprężenie w naszych stosunkach z Niemcami za najpoważniejsze osiągnięcie polskiej polityki zagranicznej po 1918 r.** Laroche na to wybuchnął: **„nikt wam z tego nie robi zarzutu** — mówię o tym, że podaliście rękę Niemcom, gdy opuściły ostentacyjnie Ligę Narodów, że podpisany przez Polskę pakt z Niemcami przygotowany był potajemnie i bez porozumienia z Qyai d'Orsay (siedziba francuskiego MSZ).

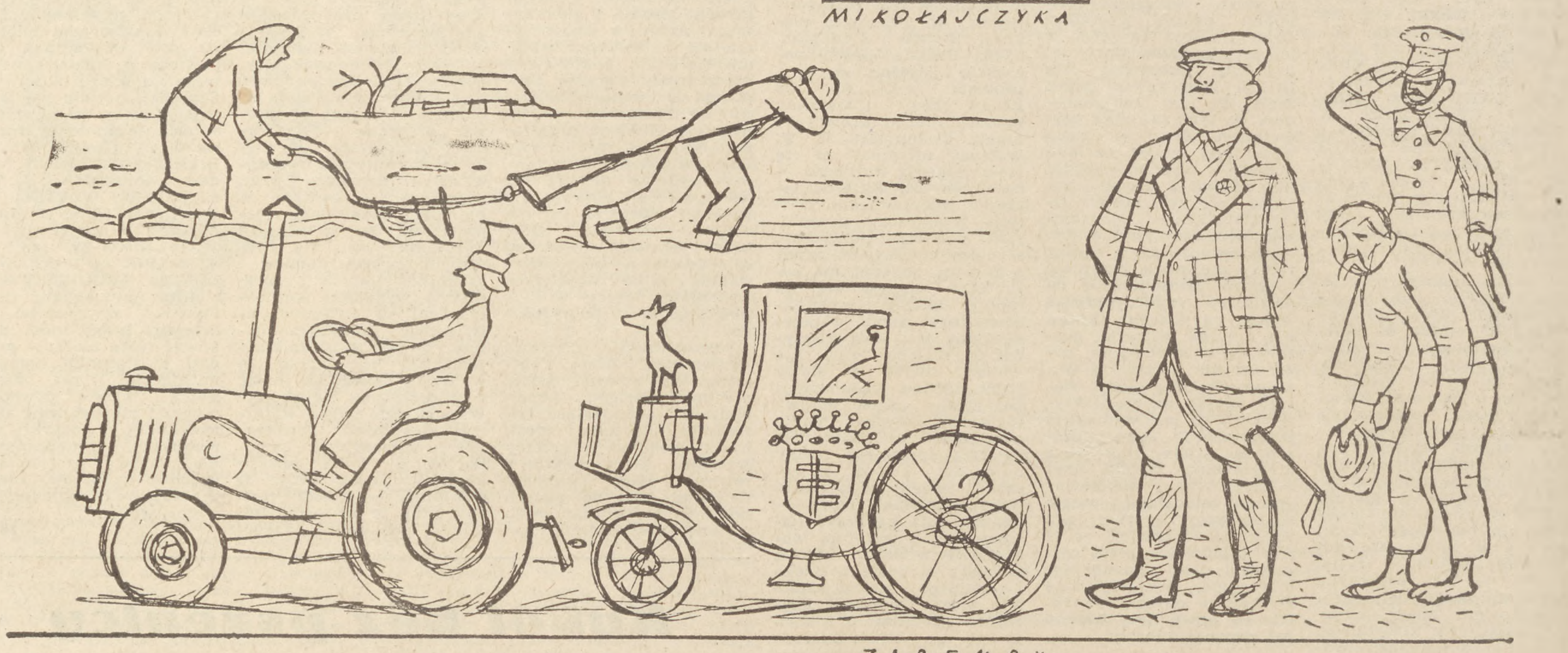
(Ciąg dalszy nastąpi)

opracował **Zygmunt Kałużyński**

*) ZSRR wszedł do Ligi Narodów we wrześniu 1934 r., tj. w cztery miesiące po tej przepowiedni.

MARZENIA ŚNIĘTEJ GŁOWY CZYLI PLATFORMA WYBORCZA:

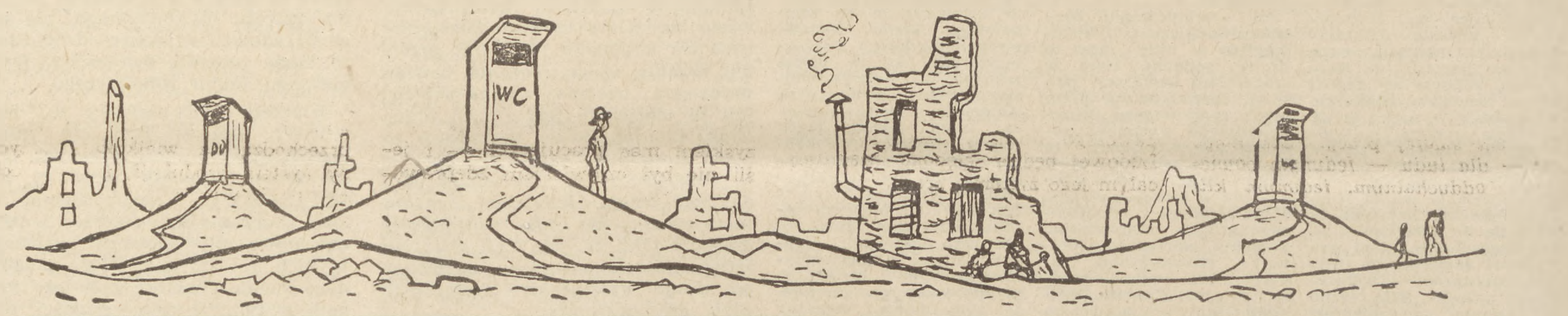
MIKOŁAJCZYKA

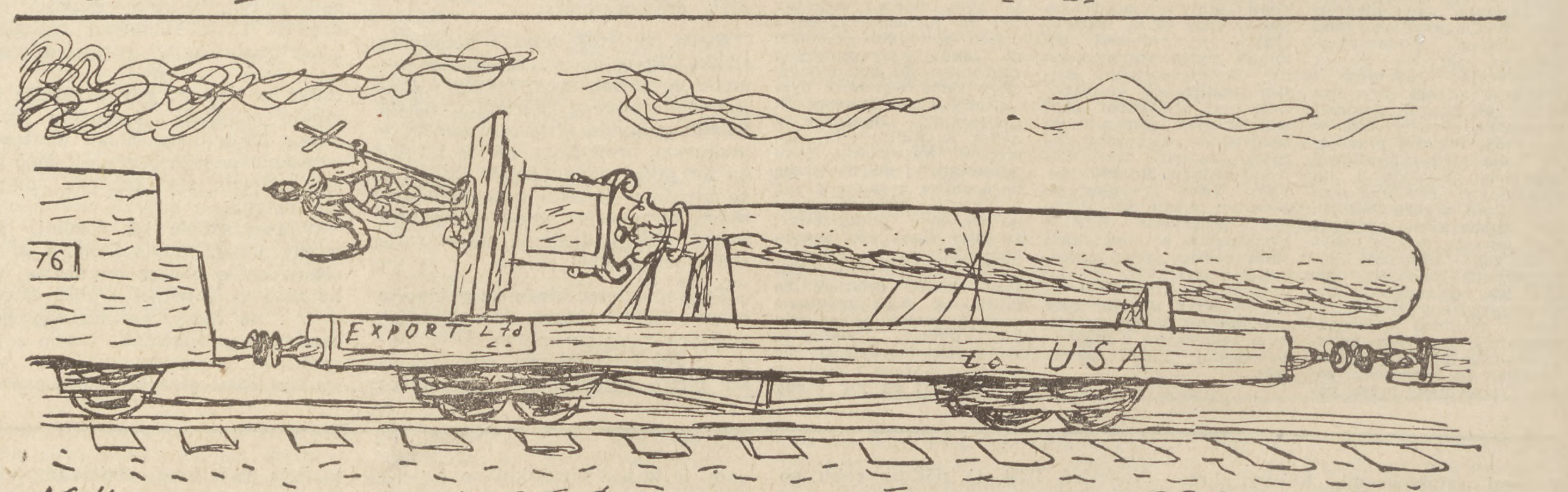


ZAREMBY



SŁAWOJA





ICH WSPÓLNA PLATFORMA



rysunki *WŁADYSŁAWA DASZEWSKIEGO*

nożyce

JAN SZELĄG

Sen nocy londyńskiej

Radca Bereziński wrócił do swego hotelu z ciężkim bólem głowy. Zebranie trwało przeszło dziesięć godzin. Sam referent Stupajkiewicz mówił o sprawie wyborów około dwóch godzin. Potem dyskusja. Na sali duszno, pełno dymu. Ale nie to było najgorsze...

Bereziński wstrząsnął się na samo wspomnienie tego co krótko i głośno powiedział pułkownik Zaleszczycki. A więc do tego już doszła demoralizacja i rozkład naszego trzonu narodowego! Bereziński powtarzał sobie bezczelne wystąpienie Zaleszczyckiego:

— A ja wam powiadam, to wielkie szczęście, że jesteśmy tu nad Tamizą, a nie tam nad Wisłą. A ja wam powiadam, koledzy i przyjaciele, to wielkie szczęście, że nie bierzemy udziału w wyborach październikowych. A chcecie wiedzieć dlaczego? — Zaleszczycki mówił głośno i wyraźnie — bo twierdzę, że nie potrafilibyśmy zdobyć się na żaden program wyborczy!

Na sali zawrzało: okrzykom „hańba", „łotr", „łajdak" nie było końca. Dopiero Stupajkiewicz opanował sytuację. Wyjaśnił w imię jedności emigracji, iż Zaleszczyckiemu chodziło niewątpliwie nie o co innego, jak o sprowokowanie, pobudzenie twórczej myśli naszych mózgów wychodźczych w celu opracowania wielkiego programu politycznego, aktualnego, istotnie odpowiadającego potrzebom nieszczęsnego naszego narodu, jęczącego — jak w Londynie każdy wie — pod jarzmem.

W rezultacie radca Bereziński obarczony został historyczną misją opracowania na rano dnia następnego nowego, świętego, z potrzeb narodu wyrastającego programu politycznego, dowodzącego, że emigracja jest strażą przednią narodu.

— Bereziński jeszcze jako tako po polsku pisze, to niech on to zrobi, a będzie all right — powiedział Stupajkiewicz, uzasadniając kandydaturę.

I teraz Bereziński jest sam w swym pokoiku hotelowym. Za oknem noc, przed nim rozłożona ryza białego papieru; za nim tysiąc lat historii Polski, przed nim konieczność wytyczenia nowych dróg narodowi. Bereziński westchnął ciężko Sam miał dokonać wielkiego dzieła Przed wojną zaangażowano by sztab fachowców, oni by rozpracowali poszczególne działy, a jemu, jako szefowi tego sztabu, pozostałoby tylko odpowiednie punkty zestawić... Hej, łzy się kręcą... Tak się rozmarzył, że aż głowę podparł i przymknął powieki.

Biała kartka papieru rosła, potężniała, aż wreszcie postawiona pionowo zaczęła przypominać spory gmach. Szyld głosił:

„Silni, zwarci, gotowi prowadzimy naród polski ku".

Bereziński wszedł śmiało do środka, lekko odkłaniając się stojącym na baczność policjantom. Kroczył dawnym, oficerskim, dziarskim krokiem po korytarzach i czytał napisy: Oświata — Kultura — Nauka — Handel — Sprawy Zagraniczne...

Zatrzymał się przed drzwiami z napisem „Rozbudowa Warszawy".

— Trzeba zrobić inspekcję — pomyślał i nacisnął klamkę.

Wnętrze olbrzymiej sali w połowie urządzone było jak biuro, w połowie jak pracownia kreślarska Zanim Bereziński zrobił trzy kroki w głąb sali, stał już przed nim postawny blondyn:

— Melduje się kierownik wydziału studiów programowych w zakresie rozbudowy Warszawy.

— Jak to — rozbudowy, panie kierowniku? — zapytał Bereziński.

Blondyn uśmiechnął się:

— W całości naszego programu wyborczego proponujemy słowu „rozbudowa" nadać właściwe gramatyczne znaczenie. Przedrostek „roz" oznacza właściwie dążność do dezintegracji, panie radco, np. w słowach „rozbicie", „rozstrój", „rozładować" Rozbudowa śródmieścia Warszawy to dla nas — primo — zniweczenie ohydnych śladów panowania komunistów w postaci na przykład M.D M. i — secundo — rekonstrukcja prawdziwych zabytków, np. dawnej Marszałkowskiej, czy innych starożytności warszawskich, skazanych przez tych bolszewików na zupełne zapomnienie, a więc: baraków dla bezdomnych na Annopolu oraz na Żoliborzu, siedziby bezdomnych w „Polusie" na Pradze itd. Zostanie przywrócony dawny widok Mariensztatu z całym swoistym urokiem swojskiego targu, co znów nasuwa konieczność rozbudowy (w naszym znaczeniu tego słowa) trasy W—Z i rekonstrukcji starego wiaduktu.

Bereziński z uznaniem kiwał głową.

Raport brzmiał dalej:

— To, panie szefie, na przykład jeden z wariantów odbudowy typowego warszawskiego podwórka, chroniącego oczy przed promieniami słonecznymi i zapewniającego mieszkańcom przez cały rok przyjemną wilgoć. Badania naszych psychologów z resortu wyznań publicznych i oświecenia religijnego dowiodły, że promienie słoneczne także bywają przyczyną buntów ludności i nieodpowiedzialnych dążeń do zmian istniejącego ładu. Oto historyczne Leszno i Bagno po zburzeniu, to jest przepraszam po r o z b u d o w i e obecnego osiedla na Muranowie... Oto...

Bereziński przerwał:

— Obawiam się, że plany wasze są zbyt śmiałe i dlatego nierealne. Środki finansowe...

— Opracowujemy program realny, dwuetapowy. Pierwszy etap: zburzenie wszystkiego, co zbudowali komuniści. To pójdzie szybko, zaprosimy specjalistów z Bonn. Odbudowa dawnych budynków? To planujemy na lata 1972—3072

Bereziński uścisnął dłoń kierownika pracowni warszawskiej i w mgnieniu oka znalazł się w dziale wiejskim. Kierownik meldował służbiście:

— Opracowano i zaplanowano akcje: deelektryfikacji wsi, detraktoryzacji; w pierwszym etapie — powrót do stosunków agrarnych przedwojennych, w drugim — raczej już powrót do systemu pańszczyzny jako wyzwalającego całkowicie włościanina od wszelkich trosk i kłopotów A oto jedno z wielkich naszych założeń, opracowane wespół z resortem handlu polskim przemysłem: odbudowa cennego zabytku naszego pejzażu — wsi Mogiła.

— A cóż to za Mogiła?

— Wieś w okolicy Krakowa, znana dawniej ze swych zabytków — były tam podobno jeszcze kurne chaty. Nazwa miejscowości zmieniona przez komunistów na Nowa Huta. Słyszał pan radca?

Bereziński sprawdził, iż praca wrzała w całym gmachu. Problemy dewczasyzacji, deszkolnizacji, odzdrowotnienia, depopulacji i inne były rozwiązywane wzorowo Współpraca wydziałów dawała rewelacyjne wyniki. Tak na przykład wydział oświaty wraz z wydziałem zdrowia opracowały naukowo wypróbowaną metodę analfabetyzacji, która w pierwszym rzucie objąć by miała połowę ludności kraju.

W tej wielkiej kuźni programowej istotnie powstawało coś, co Berezińskiego oszałamiało i dumą napawało jego serce. Wielka akcja daniny narodowej dla właścicieli fabryk, kopalń, hut i majątków ziemskich mająca na celu danie im odszkodowania za lata używania ich własności przez naród. akcja debutyzacji narodu, celem przywrócenia pięknego ludowego zwyczaju chodzenia boso, akcja odzwyczajająca od używania cukru w trosce o zapobieżenie cukrzycy, przy pomocy której komuniści chcieli wyniszczyć polskie społeczeństwo — i tysiące innych projektów — olśniewało Berezińskiego...

Gdy podniósł głowę znad stołu, na dworze świtało. Karta papieru pozostała czysta.

— Zaleszczycki miał rację — przeciągnął się radca.

Rozebrał się i wlazł do łóżka.

— Nic im nie napiszę — mruknął — niech idą do lekarza, niech im przepisze lekarstwo nasenne. Może im też się przyśni taki piękny program wyborczy.

Jan Szeląg

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro, tel. 4-01-80, wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36-23 Adres administracji: W-wa, ul Wiejska 12, tel 7-52-50 Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P P K. „Ruch", Oddz w Warszawie, ul Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48.— Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy, Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/111, tel. 7-38-05.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-25161